

SYBIR



L-P





J. MASKOFF.



SYBIR

ODBITO W DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE
LWOWIE POD ZARZĄDEM J. ZIEMBIŃSKIEGO *

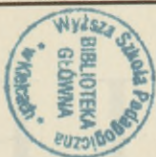
===== MCMIII. =====

151565

SYBIR



DRAMAT NARODOWY W 4-ECH
AKTACH PRZEZ JÓZEFA MA-
SKOFFA (AUTORA „TAMTEGO“).



L-P

293749L

AKT I ETAPEM. * AKT II U GUBERNATORSZY. * AKT III W TRAKTIRZE. * AKT IV
===== GDY OGNIĘ ZAPŁONĄ. =====
=====

OSOBY:

PIOTR STEPANOWICZ AKSAKÓW, gubernator.

ANEMPODIST WASILJEWICZ TARASOW, dyrektor
więzienia.

ŻOSIEJ GRYGORJEWICZ ANIUCZKINOW.

FADIEJ PAWŁOWICZ PROSKURÓW, oficer etapowy.

MAKAR, brodiaga.

IWAN IWANOWICZ, urzędnik.

ALOSZA.

BUKASZKA.

ELIKANID, właściciel traktyerni.

MUŻYK.

SZURA }
FONIA } Sybiracy.

MARUSIA.

UNTEROFICER.

WARŁAMOW.

ŻOŁNIERZ.

SOLDAT.

MARFA GAWRYŁÓWNA.

SONIA }
MASZA } jej córki z 1 małżeństwa.

PIERWSZA dama sybirska.

DRUGA dama sybirska.

1 KUPCOWA.

2 KUPCOWA.

ZDANOWSKI, starosta partyjny.

ANCYPA.
ŻARSKI.
HR. LIPSKI.
STANISŁAW PODCZASKI.
ALFONS PODCZASKI.
JÓZEF KINIEWICZ.
STAŚ WILGOCKI.
ZOFIA ZDANOWSKA.
KAROLINA STANISZEWSKA.
ZYGMUNTOWA SIERAKOWSKA.
STAŚ.
JÓZIO.
JULCIA.
1 CHŁOPKA.
2 CHŁOPKA.
WARJATKA.

WYGNAŃCY — CHŁOPI LITEWSCY — SÓLDACI —
JEMSZCZYKI — KOZACY — CHŁOPI I CHŁOPKI
SYBIRSCY.

AKT I.

ETAP.



Scena przedstawia placyk przed etapem. Po lewej stronie ostrokół, wysoka palisada ostro zakończona — bramka wjazdowa zamknięta. Po prawej placu pierwszy domek etapnojo oficera, niski o dachu szpiczastym, jednym oknie i drzwiach tak niskich, iż schylać się należy, gdy się przez nie wchodzi. Przed domkiem pod oknem ławeczka. Domek jest pomalowany cały na jasnoniebiesko, dach i drzwi na różowo. Za domkiem plac drugi, ukosem do widza szopa bez okien z szeroko otwartą ścianą bez drzwi. Wewnątrz widać pod ścianami rząd drewnianych pułek spadzistych, na których układają się więźniowie. W szopie błoto i wielkie niechlujstwo. Po za palisadą widać jedno bezlistne drzewo i widnokrąg szary, chmurny, straszny. Przy podniesieniu zasłony Alosza siedzi na ławeczce skulony w obdartym mundurze i patrzy smutnie przed siebie. Jest to dość młody jeszcze żołdāt, cichy i pokorny. Pochwili rozlega się nosowy głos Proskurowa z domu. Obok stoi samowar na ziemi.

SCENA PIERWSZA. PROSKURÓW. Alosza!

Milczenie. Alosza! prachwost ty kakoj! Alosza!

ALOSZA — PROSKURÓW.

ALOSZA zrywając się. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Pastaw samowar!

ALOSZA. Słuszajus Wasze Wysokobłahorodje! Zaczyna krzątać się koło samowara, wreszcie zdejmuje but i używa go zamiast mieszka.

PROSKURÓW staje na progu domu, jest rozezochrany, obdarty, ma pierze we włosach i brudną szynel oficerską, zarzuconą na koszulę. Cztoż ty sukin syn? czaju niet? ha?

ALOSZA. Zaraz będzie czaj... ja już i butem... i ot...

PROSKURÓW. Wrosz! ty spał... ty wsio dumasz... a dumania przynależą grafom albo oficerom a nie żołdatom... mieczty to fłosowja, a od czego ty prachfost? ty fłozofom nie był. Poniał?

ALOSZA. Poniał Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Bo jeśli ty pogańska rożo będziesz myśleć... ot... dumać, czoż zostanie się mnie? czoż ja będę robił cały dzień? No, przypuśćmy napije się czaju, prekrasno — no, przypuśćmy poigraju na gitarze, prekrasno — no, przypuśćmy zferlakuruję mamzel Ditrich,; prekrasno — no, a reszta? Trzeba myśleć.. trzeba dumać... nada carskomo poфілозофоваć... a jak ty i ja... tak już gałubczyk nie można. Ja wot ważna figura, a ty czoż? abisjana małpa. Siada na ławeczce. Tak już było od stworzenia świata, były oficery i żołdatyszki. Ważnyja lica i mielocz. Ot, jak dziesięć rubli, asygnata i miedna kapiejka — ty Alosza kapiejka, a ja ot asygnata. Ziewa. Boh!.. kakaja skuka... ot; morda od ziewania rozciągnęła się jak czort znajet czoż! Do Aloszy, który brał miotłę a kierował się do szopy. Ty kuda?

ALOSZA. Straszne błoto w etapie po ostatniej partyi. Chciał podmieść a to...

PROSKURÓW. Astaw! nie nużno nam nie przykazano, żeby w etapie błota nie było. Jak nie przykazano od wierhu to my winni sami żadnych nowosti nie dziełać. Ty żołdatyńka i małczy, ja choć oficer a taki sam swoim umom niczego nie zrobię... Błoto w etapie, robaki, czoż... przykazu nie było cztoby błoto won... tak pust ostanieltsia. Po chwili do Aloszy, który wziął z szopy kubeł i szedł za palisadę po wodę. Ty kuda?

ALOSZA. Wody w etap Wasze Wysokobłahorodje.

PROSKURÓW. Nu... wody można, w przykazie jest, cztoby woda była... no idź... Zamyka oczy i ziewa. Alosza chce iść.

PROSKURÓW nagle. Ty kuda.

ALOSZA. Wody do etapu.

PROSKURÓW. Piżniej, astańsia, ja budu філозофоваć... tak ty hużak słuszaj, czoż, no, da... mnie chciało się філозофоваć a ty słuchaj.

ALOSZA z rezygnacją stawia kubek na ziemię. Słuszaju Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. Tak... wot... Zaczem ot w Sybirje ta-koje szare niebo? ha, nie znajesz? nie znajesz?

Urywa, ziewa, zamyka oczy — po chwili. No, a czto ty nago-tował? ha? Kolacja eto tożę fłozofja... jeść... cztoż? u czelowieka rozum a potem briucho.

ALOSZA. Krupy Wasze Wysokobłahorodje i leniwyje szczy.

PROSKURÓW. Ot už ja drugi rok trzy razy dnia jem leniwyje szczy i krupy. A z miasta nic nie przy-nieśli?

ALOSZA. Nic... może będzie szła dziś partja nieszcza-stnych i co z miasta dla nich podniosą.

PROSKURÓW. Przyjdzie partja?

ALOSZA. Ja tak słyshał Wasze Wysokobłahorodje.

PROSKURÓW. Oo, tak ładno... może co i dobrego się zdarzy... Ziewa i przeciąga się. Alosza, daj gitarę! Alosza chce iść do domu. Ty kuda?

ALOSZA. Gitara...

PROSKURÓW. Ach! da! no idź!

ALOSZA. Wchodzi do domu, widać przez okno jak odczepia gitarę. Przez ten czas Proskurów ziewa, zamyka oczy i mówi.

PROSKURÓW. Ot skuka! Nagle krzyczy przeraźliwym głosem. Prywiedi Dikuszku!

ALOSZA. z domu. Siej czas Wasze Wysokobłahorodje!

Proskurów siedzi z zamkniętymi oczami. Alosza wychodzi z domu, niesie starą gitarę na różowej wstążce i prowadzi obrzydliwego parszywego psa.

ALOSZA. Wot Dikuszka!

PROSKURÓW do psa. Zdrastwuj braticz! ładna kundla?... nu cztoż dziełat? kundla.. parszywaja... ot Sybirak... ot korennij Sybirak... sadis da. Do Aloszy. Ty kuda?

ALOSZA. Wasza Wysokobłahorodie w etapie nary się połamały... nużno naprawić... to jak przyjdą nieszcza-stni, będą na ziemi leżeć.

PROSKURÓW. Nu, tak czto? Dikuszka ot na ziemi

leży? ha? czto? a ot i u Dikuszki dusza jak u człowieka, cztoż? nary połamali... czort z niemi... A u ciebie w przykazie jest czto by połamane nary naprawiać? Niet! tak zostaw! Zaczem połamali!

ALOSZA. Partja była duża Wasze Wysokobłahorodje... było 70 człowieka a w etapie miejsca na 40.

PROSKURÓW. Nu tak co? ot u mnie w głowie filozofij na czterdzieści ludzi a ot siedzi w jednej głowie. Tak i u nich niech tak będzie. Czto? ha? Dikuszka? Brzdąka na gitarze. — Alosza krząta się koło samowara.

PROSKURÓW próbuje śpiewać.

Razdiali sa mnoj ty dolja...

Grust! pieczal łasku... Nagle Alosza!

ALOSZA. Słuszajusz Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW. U mienja piękny głos, ha?

ALOSZA bez entuzjazmu. Czudnyj głos Wasze Wysokobłahorodje!

PROSKURÓW śpiewa:

Kak prijatno

W wieczەر majski

Rum jamajski

W czaj kitajskij

Po—o—o— dlewet!

Ha? czto? Dikuszka? nu, czto robić... ramu niet Alosza.

ALOSZA. Wasze Wysokobłahorodje?

PROSKURÓW. Piej! czort laguszkój;

ALOSZA. Słuszajusz Wasze Wysokobłahorodje? Zamyka oczy i jak automat śpiewa. — Proskurów gra na gitarze.

ALOSZA. Czort z laguszkój razsażdał

Sidia na igolkie

Ej ja z rodu nie widał

Jewreja w jałmorkie.

PROSKURÓW. Prygaj! prygaj!

ALOSZA z zamkniętymi oczami, nie zmieniając wyrazu twarzy, tańczy, podczas gdy Proskurów gra.

PROSKURÓW do psa. Nu, patrz Dikuszka — kakaja eto świnia.. ot prygajet... prygajet... jeśliby ja Dikuszkie skazył prygaj... ot siedit... A ot czełowiek, pryga-jet a sobaczka siedit. Alosza prestań... ha... patrz... mówię tiebie prygaj! prygajesz.. kto zwierz? Ha! pośilozofiruj, kto zwierz! Nu, prygaj... a nie, to w mordu... Zamierza się gitarą, — Alosza automatycznie zabiera się do tańca — nagle dzwonek rozlega się u bramy i słychać przeciągły krzyk. Ha! a! a!

PROSKURÓW. Ki czort? Alosza otwiera bramę, ukazuje się Brodiaga.

SCENA DRUGA. BRODIAGA na progu do Aloszy
Brodiaga!

CIŻ — BRODIAGA.

Brodiaga jest już siwiejący mężczyzna, wysoki, chudy i zgarbiony — odziany jest dziwacznie w rozmaitego rodzaju odzież — czapkę sprawnika — bardzo brudny i oberwany mówi cicho, półsłówkami — tylko oczy mu grają gwałtownie pod zsuniętymi brwiami.

ALOSZA zwraca się do Proskurowa.
Wasza Wysokobłahorodje?
Brodiaga! Proskurow wzrusza ramionami obojętnie i brzdąka na gitarze.
Brodiaga wchodzi i kłania się po wojskowemu Proskurówi.

BRODIAGA. Imieju czest ja-wić się Wasze Wysokobłagorodie!

PROSKURÓW patrzy na niego ospale. Czego wam trzeba?

BRODIAGA. Ja przychodzę

prosić, cztoby wy mienja arestowali.

PROSKURÓW. Cztoż, tego roku tak wcześnie?

BRODIAGA. Užasno chołodno nadojeło włóczyć się.

PROSKURÓW. Ty był już u mnie? ha?

BRODIAGA. Da, w przeszłym roku... w późnej jesieni... ot już drzewo liście straciło... wy mnie arestowali... ja ubijca Makrimowicza... da...

PROSKURÓW. Aha! da! da! no cóż.. gdzieś mnie ciebie teraz arestować, miejsca nie ma gdzie ciebie trzymać, idź, poguľaj jeszcze troche, a potem jaw się.

BRODIAGA uparcie. Chłodno już... chcę do turmy.

PROSKURÓW. Idź procz!

BRODIAGA jak wyżej. Arestujcie mienia!

PROSKURÓW coraz gwałtowniej. Mnie nie chce się!

BRODIAGA. Arestujcie mienia!

PROSKURÓW. Mnie nie chce się! ot Dikuszka — smatri! durak kakoj! Ja będę jego trzymać, żywić, dawać znać sprawnikowi i całe komedje z nim łamać... idź k'czortu — przychodź jak będzie partja, pójdiesz z niemi razem.

BRODIAGA. Ja głodny — u mnie nogi we krwi, ja się stąd nie ruszę. Siada na ławce obok Proskurowa.

PROSKURÓW patrzy na niego — chwilę mierzą się oczami, ogarnia go lęk, wreszcie wstaje, pluje i mówi do psa. Pajdi Dikuszka! pust! siedit! etot mierzawiec odin! naplewat nam na niewo! Przechodząc kopie samowar, który się przewraca i woda wylewa. Alosza! czaj! Odchodzi do domu.

SCENA TRZECIA. ALOSZA zabiera się do samowara, po chwili patrzy na Brodiagę, który siedzi z przymkniętymi oczami. Wy któren raz uciekli?

ALOSZA — BRODIAGA.

BRODIAGA nie otwierając oczów.
Pietnasty!

ALOSZA. W ile lat?

BRODIAGA jak wyżej. W dwadzieścia!

ALOSZA. Maładiec! a czemuże wy teraz byli?

BRODIAGA. Horodniczym.

ALOSZA. A przedtem?

BRODIAGA. Ja był strapczym, dieńszczykiem, przystawem, felczerem, nawet popem.

ALOSZA. Nie uże...

BRODIAGA. Da... da... Chwila milczenia.

ALOSZA. Wy na wiosnę znów z turmy uciekniecie?

BRODIAGA. Nadiejuś! Kakże? ja by z wiosną nie wytrzymał w turmie. Sołnyszko... las szumi, ciągnie... pachnie — da w drogę — jesienią, zimą, smutno za turmą — ot — nawykła dusza.

ALOSZA. No, a pałki?

BRODIAGA. Prywykł... naplewat! Po chwili patrząc na Aloszę.

Ty prosto zwierzę nie człowiek!

ALOSZA. Za czym brat? za czym?

BRODIAGA. Kakże? Ty wot służysz? ty ilot na tyle let? żołdat... szynel na grzbiecie i waruj jak sobaka... wstydno! rzuć szynel -- udieraj w les, w skały, w święte Bajkalskie wody... swoboda... życie... o!

Wyciąga przed siebie ręce.

ALOSZA. Kakże? Mnie sądzono służyć... przykazano... nie można inaczej.

BRODIAGA. Tuman ty! tuman! gdzie ten, kto przykazywajet? car? ha, ha! Batiuszka car? da on i nie wie czto jaki durak butem samowar rozdmuchuje... ta w mordu od oficera bierze... i męczy się w szyneli... Za czym ty carowi potrzebny, co?

ALOSZA. Boh dał jemu włast', moc, potęgę, siłę — nam słuchać trzeba.

BRODIAGA. A Bogu kto dał włast'? i siłę, ha? Po chwili z pogardą. Tuman, tuman.

ALOSZA. Da... wy už ubijca... to wam wszystko jedno, wy z Bogiem w niezgodzie i z carem batiuszką i z prawem. U was krew na duszy, ale ja choć żołdatyszka ale czysty i praw. Wy wierno nie tylko Makrymowicza ubili... u was więcej ofiar na duszy.

BRODIAGA szyderczo. Nadiejuś... kak ucieknę z turmy trzeba żyć... lasem jedzie kupiec... pas na nim tłusty od pieniędzy... cztoż kupiec? żyru, tłuszczu kupa — gdzie u niego dusza... w łob go kawałkiem żelaza i kupca niet a ruble moje! Ot i żyć mogę... i sołnyszko świeci a grzeje... las szumi, ptaszyna śpiewa... a kupiec? żyr, tłuszcz... wot liście lecą... lecą... kupa cała... pokryły... da!

ALOSZA. Ja by nie mógł zabić człowieka.

BRODIAGA. Poczekaj brat... ciebie kiedy ubiją. — Na świecie zabiti! nada, jeśli nie chcesz, aby ciebie zabili...

da... da!.. Po chwili. U ciebie trochę chleba jest?

Po chwili. Ja jak głodny to i za chleb zabić gotów.

ALOSZA dobywając z zapazuchy chleb razowy. Ja ostatnim kawałkiem z głodnym się podzielę.

BRODIAGA bierze chleb. Tuman ty, tuman! Dzwonek u bramy i wołanie. Ha... a... a!..

ALOSZA. Ha... a... a!..

SCENA CZWARTA. MARUSIA. My z podarkami dla nieszczęstnych.

ALOSZA — BRODIAGA —
IWAN IWANOWICZ IWA-
NOW — MARUSIA — SZU-
RA — FONIA.

ALOSZA. Partii nie ma.
IWAN IWANOWICZ.
My wiemy, no, partya idzie, my chcemy prosić Fadieja Pawłowicza, czto by pazwolił złożyć podarki na swoje ręce.

ALOSZA. Wejdźcie! Wchodzą. Iwan Iwanowicz ubrany w galowy mundur i białe rękawiczki — na wierzchu barankowe futro, niesie na tacy pierog — na pierogu leży trochę srebrnej monety. Iwan Iwanowicz jest biednym pokornym urzędnikiem. Marusia stara chłopka sybiraczka, odziana w kozuch i wysokie buty, trzyma na talerzu pierog. Szura i Fonia, chłopcy sybirscy odziani ciepło ale biednie — każdy ma talerz z jedzeniem.

IWAN IWANOWICZ. Pamіłujcie... można zobaczyć Fadieja Pawłowicza?

ALOSZA po chwili, skrobiąc się w głowę. Ot... ja wam prosto powiem Iwanie Iwanowiczu... jeśli u was rum jamajski w kieszeni jest, dobrze... ja was powiodę k' Błahorodji... a jeśli u was rumu nietna, tak batiuszki lepiej idźcie do domu.

IWAN IWANOWICZ. Jakże... pamіłujcie... rum jest. Fonia! wyjmij rum z kieszeni. Fonia wyjmując Iwanowi butelkę rumu z kieszeni.

MARUSIA. Idź gałubczyk Alosza... daj jemu butelkę... niech on pozwoli nam pomóc nieszczęstnym. Ja upiekła dziś świeże pierogi z kapustą... a ot Fonia

ma chleb i trochę masła... po parę kopiejek też położyli my na talerzach. Poproś Fadięja Pawłowicza, niech nam wskaże kto w partyi samoj nieszczęstnyj.

ALOSZA. Oni wszyscy nieszczęstny! Śnieg lekko pada.

MARUSIA. Da... da! Boh mój! Daleko idą... ot... co ojczyznę postradali, wszystko — oni tam podobno podnieśli bunt... wołnienie.

ALOSZA. Da — eto strasznoje przestępstwo... bunt przeciw caru — car sprawiedliwie karze.

MARUSIA. Da! da! ty praw gałubczyk — no cżtoż — oni nieszczęstny... głodni... da chłodno... wot śnieg — pierwszy śnieg.

IWAN IWANOWICZ. Idź! hołubczyk idź!

ALOSZA. Da mienja ich żal... straszno żal... ot serce się kraje jak patrzę... no ale bunt, wołnienie nie... nie...
Odchodzi do domku.

IWAN IWANOWICZ. A jeśli Fadięj Pawłowicz, zechce wziąć sobie pieniądze?

MARUSIA. Ha! pust! niech bierze... pierogi niech choć ostawi dla biednych W oknie pojawia się Proskurów.

PROSKURÓW. Nu cżto? cżto wam potrzeba?

IWAN IWANOWICZ z ukłonem. Fadięj Pawłowicz... my ot z podarkami dla partji. Ja Iwan Iwanowicz Iwanow, z poczty, wy mienja uznali? niet? Partja idzie nowa, więc my po dawnemu sybirskiemu zwyczajowi z podarkami — u mnie dziś imieniny, tak ja mundur nadział i z pierogiem i datkiem k' nieszczęstnym...

MARUSIA. A ja ot z kapustą i z kopiejkami.

PROSKURÓW. Nu ładno, ładno! Alosza odbierz podarki i postaw w sieni... Jak partja przyjdzie to możecie wejść na dziedziniec. Alosza odbiera talerze i wnosi do domu. Teraz idźcie procz!

WSZYSCY cofają się do bramy. Spasibo Fadięj Pawłowicz...
spasibo...

PROSKURÓW. Alosza! czaj! Odtyka w oknie butelkę rumu i wacha. Rum jamajskij! Podśpiewuje.

Rum jamajskij
W czaj kitajskij...

dum — dum — dum!

Słychać dzwonki. — Proskurów zamyka okno. — Dzwonki się przybliżają,
słychać tętent koni i wołanie: Ha! a! a!

SCENA PIĄTA.

JEMSZCZYK do chłopów. Bie-
re-giś.

BRODIAGA — ALOSZA —
PROSKURÓW — ANIU-
CZKIN — IWANOWICZ —
MARUSIA — CHŁOPI

ANIUCZKIN do Aloszy. Re-
mnie! Alosza odpina skórzane
pasy, którymi Aniućzkin jest do ki-
bitki przymocowany. — Jest to
prześliczny młody chłopiec w czer-
kieskim mundurze, lat 22, o białej
twarzy i ślicznych szafirowych
oczach. Wąsiki zaledwie się pu-
szczają, zgrabny, ruchy niezmiernie
malownicze i estetyczne — miesza-
nina kota z gołębiem — chwilami
wzrok marzący, jak u dziecka, to
znów krwiożerczy, jakby podnie-
cony chorobliwie — odziany ciepło.

cofają się na bok — Alosza otwiera
bramę — wpada zaprzężona kibitka
w jednego konia z wysoką hołobłą
malowaną — na koźle jemszczyk o-
dziany w grubą sukmanę — na kibitce,
trzymając się jamszczyka, siedzi Aniu-
czkin. Zajeżdżają przed domek Prosku-
rowa, który wypada na ganek, usiłując
zapiąć porządniejszy mundur.

ANIUCZKIN szybko. Gdzie
etapnyj oficer?

ALOSZA. Siej czas budiet
jawitsia. Idzie do domu.

BRODIAGA wstaje i podchodzi do Aniućzkina. Wasze Wysoko-
błahorodje?

ANIUCZKIN. Czego?

BRODIAGA. Pokorniejsze proszu... imieju czest ja-
witsia...

ANIUCZKIN. Po kakomu diełu?

BRODIAGA. Ja brodiaga... ubił temu dwadzieścia lat
swego pana Makrimowicza... uciekł z katorgi pietna-
ście razy... teraz zima, do turmy хочzetsia nužno
arestowat!

ANIUCZKIN. Poczekaj!

BRODIAGA. Wasze Wysokobłahorodje...

ANIUCZKIN gwałtownie. Poczekaj!

BRODIAGA zły mrucząc. Ja ubił Makrymowicza.

ANIUCZKIN z pasją. A ja ciebie zabiję, jak będziesz odpowiadał. Won! bijąc we drzwi butem Cóż eto? nikogo niema? drzwi się otwierają, wychodzi Proskurów, za nim Alosza.

PROSKURÓW. Prastitie.. no ja zdrzemnął się — tyle pracy...

ANIUCZKIN. Da, da! znaju... no nie w tem rzecz. — Ja wiodę partję... ja ich wyprzedził... ja mam do was interes!

PROSKURÓW. Alosza! postaw samowar, proszę w komnacie... u mnie ot tam jamajski świeży.

ANIUCZKIN. Niet, niet, u mienja czasu niema. Ja do was z prośbą.

PROSKURÓW. Pamiłujtie... powiedzcie o co chodzi.

ANIUCZKIN bijąc się szpicrutą po ostrogach. Wy tutejszy, Sybirak?

PROSKURÓW. Ja? kakże? ja iż Torżka rodem — Tarżok, sławne miasto... tam 43 monastery — ja popadłem ot na Sybir w etapnawo oficera... no, to dla mienja męka... ja człowiek uczony u mienja w gołowie filozofij na 40 ludzi... a ja muszę na etapie siedzieć.

NAIUCZKIN. Da — to nieprzyjemnie. Tak ja rad, że ja na was popadł, bo wy mnie łatwiej zrozumiecie. Ja Petersburszczyk... Żosiej Grygorjewicz Aniuczkina pazwoltie poznaomitsia.

PROSKURÓW. Ja Fadij Pawłowicz Proskurów... no... poczekajcie, ja był dwa lata temu w Petersburgu i tam często bywał na Litejnom prospekcie, u Róży Stiepanowny Monczalowej... Ona często opowiadała o Żosjeju Grygorjewiczu... Ona była w nim wluźbłona do bzika, ona zwała go igruszką... ha?

ANIUCZKIN. Ato — ja!

PROSKURÓW. Pomiłujtie... eto wy! Tam w Petersburgu wsie damy były zakochane w was jak warjatk... Takij młodeńkij a tyle ofiar, no... no! eto

wy! I kakże wy tak partje wodzicie, takoj don-
żuan?

ANIUCZKIN. Czto dziełat? służba — niewola! Odko-
menderowali do Polszy... ja okazałsia dzielnie, tak
transport mnie zdali. A! a! wpierwych trzeba na
szczot dzieła — K' wam przykaz... Eto żurnały
wyjmuje z zanadrza plikę dzienników. Jeden dla was... tu arty-
kuł.. ot... Katkowa... Wy musicie ten artykuł czytać
miejscowej ludności, żeby oni spotykali ssylnych jak
przynależy... tu oto jest, że Polacy niosą za sobą po-
żogę i mord — ciemnej swołoczy — trzeba mówić
prosta, że Polaków za to wysłali bo ruskich wyrzy-
nali i ruskie kobiety bezczęścili... da... a co rozu-
mniejszym, to trza powiedzieć, że gdyby nie bunt
u Polaków byłaby już konstytucja i znaczenie szlachty
by się podniosło.

PROSKURÓW. No... pomiłujcie...

ANIUCZKIN gwałtownie. Tutaj przykaz i mądry przykaz.
Lud po drodze wielkodusznie podejmuje ssylnych,
podnosi prezenty. Oni sobą lud buntują, trzeba osła-
bić to wrażenie. Oni idą głodne i chorzy, to lud się
lituje. Wy Fadiiej.. Piotr...

PROSKURÓW. Pawłowicz...

ANIUCZKIN. Pardons! Wy, Fadiiej Pawłowiczu, po-
winni artykuły Katkowa im czytać a wszystko będzie
dobrze... i podarków nie pozwolić podawać. — Gnać
won! po chwili. No... a teraz... moja własna sprawa...
z uśmiechem. Eto intymnoje dzieło...

PROSKURÓW zachwycony. Kobieta?

ANIUCZKIN. Da... kobieta!

PROSKURÓW. Wy wlublon?

ANIUCZKIN rozmarzony. Do szaleństwa!

PROSKURÓW. W Petersburgu? w Róży Stiepanowej
Monczołowej, ha?

ANIUCZKIN gwałtownie. Naplewat mnie na Rozu! czto

ona! ot malpa... durna kakaja... niet! ja wlublon
w krasawicy... ot... cud... prosto.

PROSKURÓW. Gdzież ona?

ANIUCZKIN. Eto Polaczka... kakaja Zdanowskaja.

PROSKURÓW. Katorżnica?

ANIUCZKIN. Niet — mąż jej zesłany... Ona idzie
za nim dobrowolnie... z nim i z dziećmi... troje ma-
łych... kryczut... no... niczewo... matka prosto anioł...
nagle. Jej Bohu... nie wydzierżu!

PROSKURÓW. Da, da! wy zawsze Zosiej Grygorje-
wicz mieli ekstra tiemperament. Mnie damy w Pe-
tersburgu opowiadały.

ANIUCZKIN ^{coraz gorzej.} Cztoż naplewat na eti damy...
to szympanzee martyszki naprzeciw Zdanowskoj...
po chwili. Jakie ciało musi być u tej kobiety. Ja wi-
diał tylko jej szyję kak ona myłaś na etapie... Boh
mój... nie wydzierżu:

PROSKURÓW. Ja was rozumiem! A to ja sam jeszcze
w Tarżkie... wkochałem się tak samo... to była ku-
charka u popa przy monasterze. Kucharka a umna,
mądra, szykowna... ot filozofka! Ja jej co dnia róże
do kuchni rzucał, Ja tożę sentyment rozumiem.

ALOSZA podchodzi do Proskurowa. Wasze Wysokoblahoro-
dje... jeśli partja idzie, tak trzeba chyba im nary do
spania narządzić.

PROSKURÓW. Paszoł procz! przykaza niet.. niech śpią
na ziemi do Aniuczkiną przewracając oczy. Ach, da! i u
mienia serce jak u ptaka... Ja oczeń łatwo się ko-
cham.

ANIUCZKIN. Tak wot... Zdanowskaja nie wie nawet,
co ja się w niej rozkochał. Ja partję wiel z Kijowa
Przez Połtawę i Charków. Ona zaś w Penzie nas
dognąła perekładną. Gdym ją zobaczył, jakbym w łeb
dostał. Ja do niej podchodzę łaskawie, ale ona mężem
i dziećmi zajęta, nie widzi. No, już takie dziś moje
nerwne rozpołożenie, że wolę, żeby albo mnie odtrą-

ciła, albo niechaj mnie czorci porwą. Tak do was prośba. Partja będzie dziś nocować, ja ich zamknę w etapie, ona jedna zostanie się. Pozwólcie mi waszą kwaterę... tam ją pomieścimy a potem... niech... po chwili. Wy widzicie mnie Fadiejn Pawłowiczu w jakim ja nerwnym rozpołożeniu, jeśli ja k' wam nieznakomym obracam się z taką prośbą intymną, ha?

PROSKURÓW. Wy mnie cześć robicie Zosiejn Grygorjewiczu.

ANIUCZKIN. No, ręka rękę myje. Skoro wolnienie w Polsce się całkiem uciszy i transporta sfolgują, ja wrócę znów do Petersburga a tam dam wam częstnojo słowo, że wami się zajmą i z Sybiru nazad do matuszki Rassij przewiodę. No co, zgoda?

PROSKURÓW. Jakże niet? ja wam wdzięczny, że mi pozwalacie oddać sobie przysługę. Tak ja komnatę dla etoj madamy przystroję a sam spać będę u Alo-szy. Aloszę wygnam precz na dwór na skamejkę. U mienia dobre serce dla drugiego człowieka.

ANIUCZKIN. Prekrasno... pazwólcie niech wam podziękuję. wsuwa mu w rękę bumażkę. Eto na przystrojenie komnatki.

PROSKURÓW chowa pieniądze. A... a jej mąż? jak on zacznie fokusy a komedje.

ANIUCZKIN. Jej mąż? on że katorżnik, w szeregu idzie nagle z nienawością. Eto samyj gordyj człowiek w partyi. Nieugięty, zły, wiedzie ich w bunt. Jak mnie go w Kijowie zdali, to my się oczami zmierzyl. I od tej pory priamo dwa dzikie psy.

PROSKURÓW. Z zazdrości.

ANIUCZKIN szybko. Niet, niet — tak ot — bunt u niego a u mienia siła. Pysnie się... gieroj... żonę, czynami... wsiem, a jego duszę i jego żonę ot tak... łamie spicrutę. w drobiazgi... o! No praszczajcie! jedu im na spotkanie, za minut 5 będę nazad! Jemszczyk... pa-

dawaj! zajeżdza Kibitka — Alosza przywiązać chce Aniuczkiną do kibitki.

BRODIAGA dopada do kibitki i chwytą konia za uzdę. Da... aresztujcie mnie... radi Boga...

ANIUCZKIN. Paszoł won!

BRODIAGA uderzony po ręce przez jemszczyka, puszcza konia. Aresztujcie radi Boga! ja ubijca! śnieg ot! mnie w turmu хочzetsia.

ANIUCZKIN staje w saniach i uderza Brodiagę w zęby. Wot tiebia turma... won!

BRODIAGA zatacza się w tył i chwytą się za zęby. Mierzawiec... zuby wybił! kibitka odjeżdża.

PROSKURÓW. Sława Bogu! dobry dzień... butyłka rumu... da asygnata... cudnyj dzień.

BRODIAGA chwytając go za rękę z pasyą. Aresztujcie mienia a to jej Bohu ubiju, kawo ubiju!

PROSKURÓW wchodząc do domu. Za minutkę gałubczyk... minutkę... a pójdziesz z partyjką do Fiumeń, do Tobolska — potem dalsze!

SCENA SZÓSTA. BRODIAGA. Wot prachwosty! Żaden nie chce aresztować a tu da liście obleciały i śnieg. Ja nigdy jeszcze śniegu na wolności nie widział. Ot pomyjna jama nie etap.

BRODIAGA — ALOSZA.

ALOSZA. Tak wam pilno pałkami dostać?

BRODIAGA. Da! pałoczki moje, jesienna biesiada. Ja co jesień biore pałki... da co? pałka krew rozgrzewa, no ty brał w mordu, bierzesz, a to cześć twoją wala.

ALOSZA. Tobie też partyjnyj oficer w mordu dał.

BRODIAGA. Nie w mordu a w zuby... eto raznica. On służbę pełnił; a tobie oficer nie po służbowej cześci ale po samowarnej w mordu bije.

Słychać znów dzwonki.

ALOSZA. Konwój idiot! Otwiera bramy na rościę — śnieg coraz gęstszy sypie — ściemnia się.

SCENA SIÓDMA.

BRODIAGA — ALOSZA —
PROSKURÓW — IWANO-
WICZ — MARUSIA — FO-
NIA — SZURA potem konwój,

Aniuczkin na kubitce pierwszy.

ZDANOWSKI — STANI-
SZEWSKA — KINIEWICZ,
hr. LIPSKI — ANCYPA —
ŻARSKI — POMERANC —
STANISŁAW PODCZASKI,
ALFONS PODCZASKI —
STAŚ WILGOCKI — Chłop-
ka — Warjatka — Wy-
gnańcy Polacy — Krymi-
nalni przestępcy — 2 unter-
oficerów — Konwojujący
soldaci.

IWANOWICZ wchodzi pierw-
szy wraz z Marusią — Fonią i
Szurą. Idą już, idą!

MARUNIA bardzo wzruszona.
Ach! biednieji... bie-
dnieji... tak ich dużo aż
czarno na drodze.

IWANOWICZ. Chodźmy
k' Proskurowu, niech
nam da nasze podarki,
spotkamy ich w bra-
mie.

MARUSIA. Da.... da!
chodźmy! idą ku domkowi,
wychodzi Proskurów, trzymając
w ręce gazetę.

IWANOWICZ. Zdrast-
wujcie Fadię Pawło-
wicz... my przyszli o-
debrać nasze podarki...
partja idzie!

PROSKURÓW przybiera srogą
minę i uderza ręką w dziennik. Wy wiecie czto eto?

WSZYSCY. Niet Wasze Wysokoblahorodje:

PROSKURÓW. Odkryjcie głowy... no... prędzej... eto
ukaz... da... ukaz, czto by więcej podarków zesłanym
Polakom nie podnosić.

WSZYSCY. Nie podnosić?

PROSKURÓW. Da! Car batiuszka tak nakazał chłopci
żegnają się.

MARUSIA. Car batiuszka... Hospody.

PROSKURÓW. Wy Iwan Iwanowicz Iwanów inteligent
tak ot wam po osobno. Jeślib nie Polaki byłyby już
dawno konstytucja... da i mieszczenie... szlachta i u-

rzędniki... da tożę pocztowe wzrosłyby w znaczenie. Eto dla was! A dla was czerni to ot... Polaki za to zesłane, że ruskich różnili, mordowali, rabowali da... kobiety bezczęścili... A teper zdieś, na Sybirze jakby ich wolno puścić, to oni wasze chaty spalą a was eto zarezą jak bydło.

MARUSIA. Nie może być?

PROSKURÓW. Da! tak to stoi w przykazie. Sam car batiuszka dowiedział się, że wy tych przestępców pierogami karmicie, da kopiejki dajecie i gniewa się...

O! car sam sie gniewa! chłopci stają niepewni i zafrasowani.

IWANOWICZ po chwili. Da... eto wazmożno... no... pre-praszam ja by chętnie tot przykaz przeczytał.

PROSKURÓW gwałtownie. A eto czto takoje! To ja nie mam wiary? Jeśli ja mówię to prawda, bo ja carski oficer... a carski oficer prawdą żyje... Ubierajtiesz wasie won... a nie, to ja za horodniczym pošlę... a nie, to ja...

MARUSIA. Da prasti batiuszka... nie kryczy! my ucho-dim procz... naradzają się.

IWANOWICZ podchodzi nieśmiało. Przebaczcie... no... by chcieli nazad nasze pierogi i pieniądze.

PROSKURÓW wrzaszcząc. Co? co? wasze pierogi ostaną się u mnie! one pojedą do Petersburga do samego cara — one będą świadczyć jako wy się także buntujecie. Was także ześlą, was w turmy zamkną... was wołając ku domowi Alosza! postaw samowar!

IWANOWICZ. Chodźcie gałubczyki do domu... tot złodziej nic nie odda... a cóż z próżnemi rękami nieszczastnych spotykać!

MARUSIA. On wszystko nalgał... Polaki dobry narod... mój ojciec jeszcze przed laty miał ich u siebie... oni dobry ludzie...

IWANOWICZ. Każetsia!

MARUSIA. Da... da... Eto tylko dla tego, żeby nam pierogi i kopiejki ściągnąć. Czort z nimi pluje.

Aniuczkin wjeżdża na kibitce i zeskakuje. — Proskurow wybiega na jego spotkanie.

ANIUCZKIN. Cóż wsio gotowe?

PROSKURÓW. Da... a gdzie wasza krasawica?

ANIUCZKIN. Za partją z dziećmi jedzie jak oszalały. Ach! jak sobie przedstawię, co będzie za godzinę.... nie wyderzu!

UNTEROFICER wchodzi, salutując przed Aniuczkinem. Wasze
Wysokoblahorodje... konwój idiot!

Słychać brzęk kajdan. — Milczenie na scenie. — Przez bramę otwartą wchodzi skuci po dwóch wygnańcy. Niektórzy są skuci wspólnymi kajdanami, które mają włożone na rękach — niektórzy mają skute razem po jednej nodze. — Wówczas pierścień od kajdan jest ciasno włożony na buty. Inni więźniowie są przykuci po dwóch do jednego żelaznego pręta. Prawie wszyscy Polacy są razem — wchodzi wolno, zmęczeni, wyczerpani. Niektórzy ledwie się wloką — odziani są w siermięgi szare z żółtą łatą kwadratową na plecach. Kobiety mają także siermięgi zbyt duże i spodnice czarne — głowy związane chustkami. — Mężczyźni mają uszy przywiązane chustkami, pończochami, szmatami, a na wierzchu włożone aresztanckie czapki. Co trzecią parą więźniów idzie żołdat z bronią — na samym końcu konwoju prowadzi 4 żołnierzy kryminalistę moskala o wyglądzie ascety — żołnierze mają ku niemu zwrócone bagnety jak ku dzikiemu zwierzęciu. Konwój cały wchodzi w milczeniu — więźniowie ustawiają się w dwa szeregi — żołnierze otaczają ich półkołem — śnieg pada coraz gęstszy — ściemnia się zupełnie. Przez otwartą bramę tłoczą się Sybiracy, niektórzy mają w rękach podarki — pierogi, drobne pieniądze. Pomiedzy niemi widać Marunię, która im coś cicho opowiada — chłopci słuchają lecz kiwają uparcie głowami. Powoli pomiedzy wygnańcami — chłopci litewscy zaczynają zbijać się w gromadkę i stoją tak, jak małe stado, oparci o siebie. Długa chwila milczenia. — Aniuczkin z nieznacznym uśmiechem stoi na przodzie sceny i z wielkiem zajęciem ogląda końce butów — wreszcie podchodzi do niego unter oficer.

ANIUCZKIN do podoficera. Czego?

PODOFICER. Po rozkazy.

ANIUCZKIN gwałtownie. Czy ja was zwał? Odkąd wy ośmielacie się mnie rozkazywać? na miejsce... Żdat!

Podof. cofa się. Znów długie milczenie — więźniowie stoją nieruchomi. Aniuczkin pogwizduje przez zęby piosenkę i wyjmuje papierośnicę, podaje Proskurowowi.

ANIUCZKIN. Izwoltie papieroska?

PROSKURÓW. Merçi... no... tu niewygodnie, może w komnatę... tam czaj, rum... Alosza! zaświeć w komnacie.

ANCYPA do Zdanowskiego, z którym jest skuty. Czy długo nas ten łotr będzie tak trzymał?

ZDANOWSKI. Milczenie... wszak widzicie, że on nas wyzywa.

ANIUCZKIN zapaliwszy papierosa, odwraca się ku wygnańcom i patrzy chwilę, nagle krzyczy. Unteroficer!

UNTEROFICER. Słuszajus Wasze Wysoko błahorodje!

ANIUCZKIN wskazuje na chłopów litewskich. A to czto? Zaczem nje w szeregu?

UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje! to litewskie chłopy! Oni tak ciągle kupą — ani weź ich rozdzielić...

ANIUCZKIN. Czto eto? Stoją kak skoty... ja kazał, żeby w szeregu... siej czas zrobić porządek. Soldaci i unteroficer rozdzielają chłopów, którzy lekliwie cofają się w szeregi.

ALFONS PODCZASKI młodziutki chłopiec do Zdanowskiego. Starosto... mówcie o kajdany... moje już buty przeżarły, nie mogę dłużej.

ZDANOWSKI. Za chwilę.

ANIUCZKIN do Unteroficiera. Niech czekają — ja smotr będę robił. Zdanowski mówi coś cicho do drugiego Unteroficera.

DRUGI UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN. Czego.

DRUGI UNTEROFICER. Starosta partyjny żelajet czto to skazat Waszemu Wysokobłahorodju...

ANIUCZKIN. Kto? starosta? czto eto? jaka śmiałość! po smotrie będzie mówił... jak ja mu pozwolę... starosta! ha? figura... on chce... parska śmiechem, do Proskurowa. Z niemi trzeba srogo... a to inaczej oni by nademną wojowali... mnie już w Kijowie informowali... a potem u mnie takoj charakter, ja szczekotliw i strog! Spostrzega Sybiraków w bramie. A eto co takoko? Podarki?

wstrecza? ha? Czy wy Fadiej u Pawłowiczu nic im nie objawili?

PROSKURÓW. Pamiłujtie? wsio skazał — i o konstytucyi i o pierogach i dla tołpy i dla inteligentów... no oni tu miejscowe, nie wiele sobie z nas robią. Nagle porywa z zanadru dziennik i pędzi ku Sybirakom, wrzeszcząc co sił. Eh! Wy edakije! czy wy nie wiecie co Katkow pi-sze? Won stąd... skareje.

SYBIRACY. My k'nieszczastnym...

PROSKURÓW. Nie lzia, nie lzia!

ANIUCZKIN gwałtownie. Co to? będziecie z niemi razgawory wiedli. Nie lzia... Unteroficer... postawić sołdatów między niemi a ssylnymi.

UNTEROFICER. Słuszajus Wasze Wysokoblahorodje.

MARUSIA do Proskurowa. No... nie rugajsia... a to my wolne ludzie a nie wasze sołdaty... czto eto? Hospody! Pomiędzy wygnańcami a Sybirakami staje kilku sołdatów z zwróconemi twarzami do Sybiraków z bagnetami nastawionymi. Sybiracy nie odchodzą, tylko tłoczą się ciągle u bramy, mrucząc.

SYBIRACY. Ot, pariadki!

ANIUCZKIN zadowolony, patrzy chwilę. Wot... ładno!

PROSKURÓW. A teraz może smotr... a potem napijem się czaju.

ANIUCZKIN. O niet! najprzód czaja, potem smotr — strasznie czaju chce się, do Unteroficera Pust! niech czekają! nie rozkuwać... niech stoją! idzie z Proskurowem do domu — odwraca się i mówi do Unteroficera. Jak nadjedzie tarantas, dać mi znać. Ceremoniują się grzecznie przy drzwiach z Proskurowem. Wreszcie wchodzi pierwszy, mówiąc Pardons!

W następnej scenie widać przez okno oświeconą komnatę w domku, nakryty stół czerwony obrusem — na nim samowar, butelka, pierogi — Alosza krząta się dokoła stołu. Proskurów i Aniuczkin siadają do stołu i piją herbatę — na scenie chwila milczenia, wreszcie coraz głośniejsze mruczenie w gromadzie Sybiraków.

MARUSIA. Wot... malczyszka... dzieciak taki.. a to

nowe poriadki wprowadza. Patrzcie... o! jakie biedniagi... tam stara siwa kobieta.

PIERWSZY SYBIRAK. A tam ot prosto dziecko.

MARUSIA. Boh! Kakija bledne... bratcy... trzeba im dać cokolwiek.. chwyta bułkę chleba, rzuca przez głowy żołdatów. Nie-szczastni, my z czystego serca!

ANCYPA dumnie. Odrzucić bułkę... cóż to? my już jesteśmy psami, aby nam jadło rzucano.

KAROLINA STANISZEWSKA. Milczcie, panie Ancypo! ta kobieta nie chleb rzuciła, ale swoje serce nam pod nogi. Serca odrzucać nie wolno!

ZDANOWSKI do Sybiraków. Dziękujemy wam bracia! Ale prosimy was nie narażajcie się dla nas.

MARUSIA. My z wami sercem.

ZDANOWSKI. Tak, jak i my z wami! odejdźcie, przecież nam nie pomożecie a sami przepłacić to możecie ciężko. Odejdźcie bracia.

ANCYPA. Mówcie nie za wszystkich, panie starosto... Ja ich braćmi nigdy nie nazwę.

KAROLINA STANISZEWSKA. To źle, panie Ancypo!

HRABIA DE LIPA LIPSKI. Olbrzymi, łysy, arystokratyczny wołyński typ - mówi wolno, wydymając usta, skuty z Kiniewiczem. Pan Kiniewicz mógłby tak rąk nie opuszczać. Przez pana Kiniewicza ręce, ja muszę ciągle stać albo iść zgięty... mnie to nieprzyjemnie!

KINIEWICZ litwin z długą czarną brodą. Ta cóż serdeńko poradzę? u mnie łapska długie, aż do kolan, tak się za sobą ciągnę. To nie moja wina.

HRABIA LIPSKI. Ja nie mówię, aby to była wina pana Kiniewicza. Ja proszę, panie Zdanowski, żeby mnie pan Zdanowski wyrobił przekucie z innym jakimś.

ZDANOWSKI. Panie Lipski, to niepodobna. Pan widział, co ten smarkacz z nami wyprawia; tak, jak los padł na nas, gdy nas zakuwano, tak już pozostaniemy aż do miejsca. On gotów nas pozakuwać z kryminalistami. Na Boga! zaklinam was... ustępujemy sobie

wzajemnie. Niechże choć niezgoda nas nie udręcza, skoro chłód i głód szarpie nas, jak sępy... odwracając się do partyi. Czy bardzo jesteście głodni?

POLACY SKAZAŃCY. Tak! tak! bardzo! Od rana wszakże nic nie jedliśmy.

ZDANOWSKI do Unteroficera. Panie podoficerze... partja jest barażo głodna.

UNTEROFICER. Da... znaju... wam należy się... tak... wot... w etapie...

ZDANOWSKI. Nie o etapne jadło nam chodzi. Pozwólcie, aby dwóch żołdatów poszło do miasta po zakupy, jak często było robione.

UNTEROFICER zaambarasowany. Da... no... wy wiecie... ta lalka zrobiła się taka sroga... on nas szpieguje... on jeżeli dojrzy, to mnie czeka kara.

ZDANOWSKI. To idźcie do niego i proście, a my... odwraca się do Żarskiego, studenta warszawskiego. Dajcie 10 kop.

ŻARSKI. Za dużo — w kasie całej wszystkiego 32 ruble.

ZDANOWSKI cicho. Trzeba mu dać koniecznie, inaczej do jutra będziemy bez jada.

ŻARSKI. Ja wytrzymam.

KINIEWICZ. I ja także!... Ja zresztą mam jeszcze trochę chleba.

ZDANOWSKI do unteroficera, dając mu 5 kopiejek nieznacznie. Idźcie do Aniuczki.

UNTEROFICER chowając pieniądze. Spróbuję, wchodzi do domku.

ZDANOWSKI. Należy teraz przygotować rubla na zakupy i po trzy kopiejki dla żołdatów.

ŻARSKI. To dużo.

ZDANOWSKI. Przedewszystkiem trzeba kupić tyle chleba, aby mieć na zapas i ażeby nigdy nas głód tak nie spotkał, jak w tej chwili. A potem...

ŻARSKI. Nie, nie, zaczekajmy...

ZDANOWSKI. Wy możecie, boście silniejsi, ale kobiety, ale słabsi... a dwoje naszych obłąkanych — czy i tym

czekać każecie? A potem, dla tego biorę rubla, że jest nas teraz więcej.

ANCYPA. Jakto więcej.

ZDANOWSKI. Czy nie liczycie tych pięciu kryminalistów, których do nas przyłączyli na poprzednim etapie? Oni także nie jedli.

ANCYPA. A! jeśli teraz zaczniemy się ze wszystkimi dzielić.

ZDANOWSKI. Tak być musi.

ANCYPA gwałtownie. To moskale... oni nas nic nie obchodzą.

KAROLINA STANISZEWSKA. W tej chwili to są ludzie pozbawieni wolności jak my i jak my głodni.

ANCYPA. O! za dużo tej ewangelii.

KAROLINA STANISZEWSKA. Tyle tylko, ile w sercu każdego chrześcijanina mieścić się winno.

ŻARSKI. Powinniśmy poddać tę sprawę powszechnemu głosowaniu. Ja się nie zgadzam.

ANCYPA. I ja także. Cała scena coraz gwałtowniej.

ZDANOWSKI. Och! Wiecznie nie pozwalam! och! wi-dmo, och, piętno Kaina! czyż i tu za nami iść będzie! nagle stanowczo Głosować nie będziemy. Wybraliście mnie starostą... ja mam władzę, każe i tak będzie.

ANCYPA. Och! och, autokratyzm?

ZDANOWSKI. Wstydź się pan... wszakże dźwigamy wspólnie kajdany. Ancypa po chwili, podając Zdanowskiemu rękę.

ANCYPA. Przepraszam was bracie. Wchodzi Unteroficer.

UNTEROFICER. Nie pozwala. Szmer pomiędzy wygnańcami.

ANCYPA. Ach! gdybym ja go mógł raz dostać... to już ta strojna lalka cała by mi z rąk nie wyszła.

ŻARSKI. Taki dzieciak pastwi się nad nami.

UNTEROFICER. Skazał szczo budiet diełat smotr do Zdanowskiego cicho. Wot... wasze piat kopiejek.

ZDANOWSKI. Weźcie je, to dla was.

UNTEROFICER. Niet, niet, ja niczewo nie zdiełał, wazmijcie, u was i tak dzienieg niet. słyhać dzwonki zdaleka.

ZDANOWSKI do partyi. Bracia! zdaje się, iż dzisiejszego wieczora jeść nie będziemy. Cóż robić? Pokrzepmy się tą myślą, że nie jemy wszyscy. Kto ma kawałek zapasowego chleba, niech go odda dla kobiet i obłąkanych.

KINIEWICZ. U mnie jest chleb.

HRABIA LIPSKI. U mnie także. Oddają chleb — Zdanowski podaje go Staniszewskiej — ona odmawia.

STANISZEWSKA. Oddajcie obłąkanym i tamtej ruskiej katorżnicy z dzieckiem. Chleb, przechodząc kolejno z rąk do rąk, dostaje się wreszcie po połowie obłąkanemu Stasiowi Wilgockiemu i jednej z chłopek, obłąkanej także.

STAŚ WILGOCKI. Dajcie, dajcie jeść! jeszcze... i pić! Dzwonki się przybliżają.

ZDANOWSKI. Bracia! Widocznie dzisiaj Aniuczkin wpadł w swoje nerwne rozpołożenie. Proszę was, nie dajmy mu niczem poznać, iż upadliśmy na duchu. Poznałicie jego charakter. Dręczenie ludzi jest mu do życia konieczne. To już u niego chorobliwe.

ALFONS PODCZASKI młodziutki, śliczny chłopiec, skuty razem ze swoim ojcem za nogi. Niech choć kajdany zdjąć każe! Ja iść nie mogę... noga mi nabrzmiała strasznie, kajdany na mnie za ciasne.

STANISŁAW PODCZASKI siwy, niski starzec. Muszą być za ciasne... do mnie dobierali. A ja przecież szkielet w porównaniu z synem.

ZDANOWSKI. Zaklinam was, jeszcze trochę cierpliwości. Podczas smotru ja będę wszystko robił, aby coś u niego wymódz.

ANCYPA. Nie chcę wam robić wymówek... ale tak postępując, jak wy...

ZDANOWSKI. Ależ ja sobie gwałt straszny zadaję, aby nie wybuchnąć. Przecież czuję, iż zgubiłbym was wszystkich.

ANCYPA. Jabym z nim inaczej postępował.

ZDANOWSKI. Ależ my na jego łasce i niełasce.



ANCYPA gwałtownie. Zabić!

ZDANOWSKI. Milczcie! Za to jedno słowo wszyscy paść mogą.

SCENA ÓSMA. JEMSZCZYK za bramą. Bie-re-gis!

CIŻ — SIERAKOWSKA — JEMSZCZYK KOZAK — 2 SOŁDATÓW.

ZDANOWSKI. Ach! to może moja żona. wpada konno kozak, zeskakuje z konia — oddając wybiegającemu Aloszy — za nim wjeżdża kibitka, na niej siedzi jemszczyk, dwóch żołdatów z bronią i Zygmuntowa Sierakowska, Jest to młodziutka kobieta, dziwnej piękności, brunetka, czarno odzia-

na, blada, podczas jazdy spadła z jej głowy czarna chustka, włosy rozpadły się — ona siedzi prawie zemdlona, podtrzymywana przez żołdata, kibitka zatrzymuje się przed etapem.

KOZAK do Aloszy. Etapnyj gaficer?

ALOSZA. Chodźcie za mną! Kozak wpada do domu.

KAROLINA STANISZEWSKA. Któraś z naszych kobiet! Och! gdyby się dowiedzieć kto?

ZDANOWSKI do Unteroficera. Kto to jedzie? kogo wiozą... błagamy, dowiedźcie się.

UNTEROFICER podchodzi do żołdata, pyta się i wraca. Iz Wilna. Zygmuntowa Sierakowska.

POLACY. Sierakowska! Zdejmują z głowy czapki z oznakami czci.

KAROLINA STANISZEWSKA. Spojrz pani na nas! Pozwól się powitać.

SIERAKOWSKA od kilku chwil starała się przyjść do siebie, z wysiłkiem. Ach! to wy także Polacy! Witajcie... ja jestem chora... mówić nie mogę... chodźcie do mnie... Polaków kilku chce wystąpić z szegu.

UNTEROFICER. Nie Izia!

ZDANOWSKI. Na chwilę.

UNTEROFICER. Nie Izia! Sałdaty! Kilka żołdatów staje pomiedzy kibitką a szeregiem wygnańców.

SIERAKOWSKA wstając w kibitce. Wasze nazwiska? Słychać nazwiska: Zdanowski, Staniszevska, Podczaski, Kiniewicz.

SIERAKOWSKA. Z daleka?

ZDANOWSKI. Z kijowskiej turmy.

SIERAKOWSKA. A ja prosto od Murawiewa... Po chwili.

Wy wiecie... Zygmunta powiesili.

POLACY. Wiemy! Pokój mu! W drodze bracia powie-
dzieli!

KOZAK wychodzi z domu. Pojadium dalsze!

SIERAKOWSKA. Ależ ja chora... ja odpocząć muszę...
ja dalej nie mogę... mnie głowa od tej jazdy pęka
z bólu.

KOZAK. Nie można — mówią, że miejsca nie ma.

SIERAKOWSKA. Ależ w tym domu ja mogę odpocząć!
Ja na tej ławce odpocznę... pozwólcie... mnie tak
boli głowa.

KOZAK. Niet... niet... i tak my opóźnili się i na tym
etapie nie przykazano nocować. Gdyby było miejsce...
ale miejsca nie ma! Do jemszczyka. No pajeżdżaj!

SIERAKOWSKA do wygnańców. Bądźcie mi zdrowi... módl-
cie się dla mnie o śmierć.

POLACY. Bądź zdrowa!

SIERAKOWSKA. Wyjmuje z futra gałązkę szpilkowej syberyjskiej
rośliny, rzuca ją wygnańcom i woła już odjeżdżając. Na pamiątkę
po Zyguncie i po mnie! Ancypa chwytą gałązkę i przy-
ciska do ust — kibitka rusza w bramę poprzedzona przez kozaka —
w domku słychać grę na gitarze „razdzieli sa mnoj ty dolu“, dzwonki od-
dalają się.

ANCYPA. Jak sen znikła... a taka piękna!

SCENA DZIEWIĄTĄ. BRODIAGA do siebie.

Wot i moja partja!

Obchodzi szeregi i patrzy
badawczo na więźniów.

CIŻ — BRODIAGA.

HR. LIPSKI do Brodiagi.

Idź precz!

Ściemniło się zupełnie — chłopci litewscy
zbili się znów w gromadkę — śnieg sypie
ciągle. — Brodiaga podchodzi do szeregu,
soldaci ustąpili — Sybiracy zniknęli — po-

ZDANOWSKI. Co się
stało?

zostaje tylko gromada skazańców, którzy coraz więcej tulą się do siebie. Niektórzy siadają na ziemi tak, iż formuje się czarna zbita grupa na środku sceny, okolona saldackimi bagnietami. Z domku dolatują ciągle dźwięki gitary. Unteroficer patrzy przez bramę.

HR. LIPSKI. Jakaś kanalja, smarowóz mi tu pod nos lezie... Won!

BRODIAGA. A cztoż ty brat rugajeszsia, ha?

HR. LIPSKI. Ja nie twój brat?

BRODIAGA. Cztoż ty, prinz? archirej? Jeślib ty, w katorzniczej sieroście, to ty mój brat. Tolko ja starszyj, bo ja pietnasty raz popadaju w katorga a ty pierwyj.

ZDANOWSKI. Czego wam trzeba?

BRODIAGA. Niczewo... ja tak... smotr diełaju. A to patrzę na was i myślę... hej! hej! tyle umnych ludzi... same mądre... skuli ich... hej! a jak to uciekać iż katorgi będzie z niemi chyrtrze!

KINIEWICZ. Idź ty bracie swoją drogą. Nie podchodź do nas z takimi słowy. Do Zdanowskiego. Trzeba się mieć na baczności, bo to mogą być agenci prowokacyjni.

ZDANOWSKI patrząc z zajęciem na Brodiagę. Nie... nie... ten Brodiaga to dusza Sybiru, ręce mu skują... nogi okują... on je wyswobodzi i ucieknie.

BRODIAGA ogląda kajdany Podczaskich. Da! da! krepka sztuka... ale co i takie przepiłować można... ja jeszcze silniejsze spiłował. Do młodego Podczaskiego, który leży wyczerpany u nóg ojca. Cztoż galubczyk? ciężelo, čo? mołodoj... Patrzy po wygnańcach. Boh mój! jaka u was głosach skuka i smutek. Ta cztoż... batiuszki... zima w turmie a na wiosnę... ot... w świat. Jeśli to drzewo zaszumi liśćmi, rozerwać kajdany da w świat! My tak Sybirjacy!

ZDANOWSKI porwany. Oni tak Sybirjacy!

STANISZEWSKA szybko i głośno. A Sierociński... a inni...

ZDANOWSKI z zapalem. Wytyczną drogą dla nas ich trupy! Wpada żołdat i mówi do Unteroficera.

SOLDAT. Wasze błahorodje... tarantas! Unteroficer wbiega do domu, po chwili wypada za nim Aniuczkin i Proskurów.

ANIUCZKIN. Wsie ssylneje w etap... skareje szmer pomiędzy zestańcami. Unteroficer! skareje!

ZDANOWSKI występuje cośkolwiek z szeregu. Panie Aniuczkin! pan zapewne zapomniał, że my od rana nic ciepłego w ustach nie mieli?

ANIUCZKIN. Jak wy śmiecie?

ZDANOWSKI. Ja do pana mówię w tej chwili jak do człowieka a nie oficera wiodącego partję... My jesteśmy głodni... kajdany są za ciasne... poraniły ręce, nogi.

ANIUCZKIN do Unteroficera. Dać chleba w etap... wiadro wody... zdjąć kajdany... skareje! Rozkuwają więźniów.

ZDANOWSKI. My przeziębli, czekając na dworze... coś ciepłego pozwól pan nawarzyć.

ANIUCZKIN. Ej panie Zdanowski... kto wiedzie partję, ja czy pan... komu władza dana...

ZDANOWSKI. Zdana władza człowiekowi a pan się okazujesz zwierzęciem.

ANIUCZKIN wściekły. Zwierzęciem? kto? czto? Wy podobno panie Zdanowski byli tam w Polsce pułkownikiem... nu to dlatego wy takoj gordo. Nu za to pan Zdanowskij pułkownik ostanie się w kajdanach na noc, żeby lepiej podumał kto zwierz, czy ten co ma siłę, czy ten co leży u nóg... ot... jak sobaka! W etap ich! Żołnierze wracają wszystkich więźniów do etapu — biorą deski leżące na dworze i zabijają otwór etapny. Przedtem Alosza wniósł do etapu kilka bochenków chleba.

ALFONS PODCZASKI odchodząc do etapu. Ojcze! ja się boję... znów nas zamkną z warjatami. Boże! to dla mnie największa męka!

ZDANOWSKI do Aniuczkina. Obrazę moją kiedyś ci policzę... ale z urzędu mego proszę o względność dla partji. Oddal pan od nas warjatów i umieść ich osobno. Między nami są ludzie nerwowi... boją się...

ANIUCZKIN. Ni za czto na świetie. Wszyscy razem!
ZDANOWSKI po chwili. Pozwól pan kobietom przenocować w domu oficera. Ot pani Staniszevska... siwa kobieta... upada ze znużenia.

ANIUCZKIN. Niet... vsie razem.

ZDANOWSKI. To choć...

ANIUCZKIN krzycząc. Dostatoczno! Zabić otwór... skareje! Söldaci wykonują rozkaz. Dwóch staje na warcie, inni idą przed bramę. — Słysząc dzwonki.

ANIUCZKIN do Proskurowa. Eto... ona Zdanovskaja!

PROSKURÓW. Szkoda, że niema ode kołonu... a to straszno cuchnie w komnacie od tytoniu... Tarantas zatrzymuje się przed bramą. Wysiada z niego Zdanovska z dziećmi. Noc zupełna. Zdanovska młoda, bardzo piękna kobieta... błada... odziana ciepło... koło niej troje dzieci w kozuszkach i bucikach.

SCENA JEDENASTA. ZDANOWSKA.

Gdzież partja?...

CIŻ — ZDANOWSKA.

Wszak tu etap...

ANIUCZKIN podchodzi. Da, madam...
zdieś etap.

ZDANOWSKA. A mój mąż? panie oficerze... to partja już rozłokowana... tam?

ANIUCZKIN. Niet... niet! to tylko część... dalsze jest zabudowanie. Wy madame się spóźnili. Mąż kazał prosić, ażebym ja wyszedł wam na spotkanie...

ZDANOWSKA. Mój mąż... was prosił?

ANIUCZKIN rozgorączkowany. Nu... da... my trochę się sprzeczamy... no... my vsio džentelmeny... Tak ot... ja na wasze rozkazy. Jakie wasze rozkazy?

ZDANOWSKA. Chodźcie dzieci... musimy odjechać.

ANIUCZKIN. Ale na co? na co? dzieci ustały... zmarzły... czaju im trzeba! Ot tam w domiszkie ciepło i czaj jest... Aj! aj! madam Zdanovska, niedobra z was matka... dzieci głodne a wy chcecie jechać,

PROSKURÓW. Pazwoltie... poznamitsia. Ja Fadiej

Pawłowicz Proskurów... w domiszkie moim komnatka na wasze usługi. Ja lubię Polaków i zawsze moje komnaty im oddaję a głównie damom.

ZDANOWSKA. Dziękuję panu! Ale doprawdy pojąć nie mogę. — Pan zawsze w takiej walce z moim mężem.

ANIUCZKIN chytrze. Ja muszę... To służba... Nu... w duszy... ja inaczej rozpołożen... Ja ot czołem przed wami madam... Nu... czto? i ja człowiek jak inni... Chwyta dziewczynki i całuje je namiętnie. Ach! duszenka ty miła... Namiętnie. U ciebie oczy jak u... Stawia dziecko na ziemi i stara się uspokoić. No.. idźmy... napojemy dzieci czajem...

ZDANOWSKA. Jeśli już tak ma być, to proszę o jedno. Jestem bardzo zmęczona... dzieci pragnę do snu ułożyć... chciałabym zostać sama.

ANIUCZKIN z ukłonem. Selon votre desirt... madame...

PROSKURÓW. Pazwoltie życzyć sobie spokojnej nocy.

ANIUCZKIN ze znaczeniem. Spokojnyj i miłyj... miłyj jak herufimy imiejut w niebie.

ZDANOWSKA stojąca na progu z pewnem wahaniem. Wolalabym pojechać do miasta.

ANIUCZKIN. Boh z wami... miasto od etapu 15 wiorst, dzieci zachorują... My wam przeszkadzać nie będziemy. Ot, nie odmawiajcie... a to pomyślę, iż wy pogardzać mną chcecie i karać za moje trochę ostre z wami przedtem postępowanie.

ZDANOWSKA smutnie. Karać pana... nie wolno. Ja mogę tylko życzyć sobie, ażebyś pan był innym. Dobranoc panom.

OFICERZY OBAJ. Pokojnej nocy!

Zdanowska z dziećmi wchodzi do domu. Widać przez okno jak rozbiera dzieci, nalewa im herbatę.

ANIUCZKIN oszalały z miłości. Ot... angieł... ot kniahyni!

PROSKURÓW. Da... no wy wiecie... błada a potem harda. Ona patrzy na nas kak na psy.

ANIUCZKIN. Niet! Wy nie wiecie, co to kobieta. Ona niby patrzy hardo... a ot uśmiechnie się... oczkiem strzeli. Tak i ta. Ona inaczej nie może... bo ona się mnie boi... Ona wie u mnie siła. Ale ona będzie dla mnie łaskawsza. Jeśli nie dla mojej urody, to ze strachu przedemną.

PROSKURÓW. Możeby jej co zaśpiewać i pograć na gitarze pod oknem... ot serenada! Zaczyna grać na gitarze.

Zdanowska w domku staje nieruchoma... po chwili podchodzi do okna.

ANIUCZKIN rozmarzony. Idzie do okna... igrajcie... igrajcie... Fadiej Pawłowicz... Tamara ty moja... ja twój demon... ja k' tobie idu... k' twoim objęciom... k' ustom twoim... moja... moja.. Zdanowska zapuszcza firanki u okna.

PROSKURÓW. Wot tobie war...

ANIUCZKIN. Igraj... igraj... eto kaprysy... damskie kaprysy!

PROSKURÓW. Możeć byt!

ANIUCZKIN nagle. Ide k' niej... nie wydzierzu... Wpada do domku.

PROSKURÓW rusza ramionami i przestaje grać. Nu... ładno... teraz i ja pójdę spać... pora... Kieruje się ku drzwiom, nagle otwierają się drzwi i widać przez nie bladego jak trup Aniuczkiina, który wyrzuca na śnieg dziewczynkę Zdanowskiej.

ANIUCZKIN jak szalony z gniewu. Eto tak! eto ja k' wam łaskawo a wy mienja... porywa z rąk Zdanowskiej, która się ukazuje na progu, chłopca i wyrzuca na śnieg.

ZDANOWSKA. Dzieci! nie zabijaj mi dzieci nikczemniku! Wybiega na scenę, trzymając za rękę trzecie dziecko, porywa poprzednio wyrzucone dzieci i tuli ich do siebie.

ANIUCZKIN. Won ot tuda... won! Ja chciał z wami po ludzku... no nie lizia... Wy śmieli na mnie rękę podnieść... Ja was nauczu!

ZDANOWSKA do Proskurowa. Panie! ratuj mnie pan... gdzie ja z dziećmi pójdę... co ja zrobię...

PROSKURÓW. Za czem wy madame taka niełaskawa?

Zosiej Fedorowicz czudnyj...

ZDANOWSKA. I ten także... i ten...

ANIUCZKIN woła. Unteroficer!

UNTEROFICER wchodzi z poza bramy. Słuszajusz Wasze
Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN. Odbić etap.. skuć więźniów... w drogę!

UNTEROFICER. Słuszajusz Wasze Wysokobłahorodje!

ANIUCZKIN pieniać się ze złości. Pajediem! dobrze... pajediem... i wy madam Zdanowska z dziećmi... proszę za konwojem! Wot za mężem ty bohaterko...

ZDANOWSKA. To nie bohaterstwo! to obowiązek!

Unteroficer wchodzi do etapu i po chwili powraca.

UNTEROFICER. Wasze Wysokobłahorodje... oni iść nie chcą...

ANIUCZKIN. Ja im pokażę! Biegnie do etapu i staje w otworze. —

Widać więźniów zbitych w masę — na środku etapu, u sufitu latarnia -- Zdanowski stoi pośrodku partyi. Obok niego Podczaski z synem.

ANIUCZKIN. Dlaczego wy iść nie chcecie?

ZDANOWSKI. Jesteśmy chorzy, zmęczeni, głodni... zrobiliśmy nasze 500 wiorst na miesiąc i nie macie prawa gnać nas dziś z etapu.

ANIUCZKIN. Łesz! nie zrobiliście 500 wiorst... ja prowadzę liczbę... Wy mnie nie śmieście przeczyść... Wyjdźcie wszyscy, a nie to...

ZDANOWSKI. Myśmy na wszystko przygotowani... lecz dłużej tak znęcać się nad sobą nie pozwolimy. Życie nasze to nie igraszka dla młokosa i choć nędzne ono, bronić je będziemy.

ANIUCZKIN. Małczat! wy pan Zdanowskij! Wy od siebie tylko gadacie. Niech zaraz ci, którym życie miłe, z etapu wyjdą... ja na nic się oglądać nie będę.

ZDANOWSKI do więźniów. Bracia... któren z was chce opuścić etap i udać się w dalszą drogę niech wyjdzie stąd dobrowolnie.

LIPSKI z dumą. Czego się pan o to pytasz! Nikt nie wyjdzie. Niech kanalia morduje.

ZDANOWSKI. Kto iż ruskich chcesz wyjti... pust... wychodit! Kilku kryminalistów Rosyan wychodzi z etapu i trwożliwie staje opodal. Soldaci natychmiast zaczynają ich skuwać.

ANIUCZKIN. Tak, eto bunt! powstanie?!

ZDANOWSKI. Wywołałeś go sam i zdasz za niego rachunek przed władzą!

ANIUCZKIN. pieniać się ze złości. Ja się nikogo nie boję... nie mam nad sobą władzy.

ZDANOWSKI. Zapominasz o Bogu! Do partyi. A więc wszyscy dobrowolnie zostajecie wraz ze mną!

WSZYSCY. Dobrowolnie!

ZDANOWSKI. Dziej się wola Boża!

ANIUCZKIN do żołdatów. Strelat! 6-ciu żołdatów staje ze strzelbami zwróconemi w etap.

ZDANOWSKA rzuca się ku Aniuczkinowi. Jezus Marja!

ANIUCZKIN. Czo... lzy? wot... prekrasno!

ZDANOWSKI. Zofio! odejdz... ty żyć musisz dla dzieci!...

ANIUCZKIN. Dzierzytie jejo! Dwóch żołdatów chwyta Zofię Zdanowską i trzyma silnie za ręce.

BRODIAGA do siebie, który się przypatrywał. A jeślib tak w łob jewo! Wskakując do etapu. Smirno bratcy! ja z wami.

ANIUCZKIN. Strelat! Płacz kobiet w wewnątrz etapu. — żołnierze wahają się strzelać.

ANIUCZKIN. Unteroficer! zaczem oni nie strelajut? Ja was pod sąd!

UNTEROFICER cicho. Tam kobiety i chorzy...

ANIUCZKIN. Eto nie wasze dzieło! strelat! potem kolbami ich! Pli! Strzał — cisza -- i słyhać jęk Alfonsa Podczaskiego.

ALFONS PODCZASKI. Ojczy! Pada martwy na ziemię.

GŁOSY W ETAPIE. Jezus Marja! zabijają! wychodźmy! wolimy iść... chodźmy... chodźmy!

ANCYPA chce się rzucić na Aniuczkiną. Zabił morderca! Soldaci

na giest Aniućzina, zasłaniają go przed wygnańcami, obracając bagnety ku tym, którzy chcą się rzucić na oficera. — Wszyscy wychodzą z etapu, nad zwłokami zostaje ojciec.

ANIUCZKIN chwilę stoi, jakby zawstydzony, — wreszcie uderza się po ostrogach szpicrutą. Hej! jemszczyk podawaj kibitki! A ich wsiech w dyby... da... i mieszać panów Palaków razem z naszymi... zakuwać skareje! Soldaci zakuwają. A ot pan Zdanowski pójdzie... Szuka oczami i dostrzega Brodiagę z etim brodiagą razem... Dobrana będzie kompania...

BRODIAGA tryumfująco. I taki ty mienja zaaresztował!

Soldaci chcą wywlec starego Podczaskiego z etapu.

PODCZASKI. Zostawcie mnie razem z synem! Soldaci tłumaczą mu coś po cichu i wyprowadzają do zakucia.

ANIUCZKIN. Tarapitcie! Spieszcie się! Wszyscy w szereg pod liczbą... skareje!

KAROLINA STANISZEWSKA do Zdanowskiej. Sił nie mam... nie wiem, czy zdołam iść dalej.

ZDANOWSKA. Niech pani siada na tarantasa wraz z dziećmi, ja pójdę za panią w szeregu do następnego etapu.

KAROLINA STANISZEWSKA. Muszę przyjąć, w oczach mi ciemno. Staniszevska bierze dzieci i idzie za bramę.

ANIUCZKIN widząc, jak Zdanowską skuwają z kryminalistą. A ot prekrasno! madam Zdanowskaja, razem ze wszystkiemi. Wskakuje do kibitki. Za mnoj! wyjeżdża za bramę — w etapie leżą martwe zwłoki Alfonsa Podczaskiego.

ZDANOWSKI. Bracia! Niech każdy z nas w duszy odmówi pacierz za tego, którego ciało tutaj pozostaje, lecz duch idzie z nami.

STANISŁAW PODCZASKI. Gdyby choć ciało wziąć.

ZDANOWSKI. Napróżno. Wiecie sami... nie dadzą... tu musi spoczywać gdzie padł.

JEDNA Z CHŁOPEK LITWINKA. Gdydy choć garstkę ziemi.

STANISŁAW PODCZASKI ze łzami przechodząc w szeregu mimo etapu. Śpij synu spokojnie!

WSZYSCY. Śpij bracie spokojnie! konwój formuje się powoli i w ciszy odchodzi. Na scenie pozostaje Alosza — Proskurow i martwe ciało Alfonsa — słychać długo brzęk kajdan i nawoływania солдатów. Gdy wszystko ucichło — Proskurow ziewa, wyciąga ręce i mówi:

PROSKURÓW. No... uszli... i znowu skuka — nudy. po chwili. Alosza! Alosza!

ALOSZA nie odzywa się, tylko stoi i patrzy w etap.

PROSKURÓW. Czto ty abaldiel? czto tam patrzysz? trup leży... pust... leży... jutro pochowają go po rządowej części. A Dikuszka?... parszywaja kundla... spit?...

ALOSZA ciągle patrzy w etap.

PROSKURÓW. Cztoż spat! už nie budu. Napijuś czaju... Alosza postaw samowar. Ty wsie na tego trupa patrzysz? da... ostaw... czort z nim! wchodzi do domu, bierze gitarę i zaczyna brzdąkać, siedząc przy stole.

ALOSZA sam, zwrócony do etapu. Czort z nim?... niet — Boh z nim! chotia on tylko buntowszczyk! Jaki młody! dziecko prosto? Gdzie twoja matka... biedniaga... gdzie twoja matka? Siada na ławce, patrząc ciągle w etap i ociera łzy — w etapie trup młodego Podczaskiego leży oświetlony dogorywającym światłem latarni — kurtyna wolno zapada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

U GUBERNATORSZY.



Scena przedstawia salon w pomieszkaniu Gubernatorstwa Aksakowa. Jestto bardzo obszerny pokój bielony z olbrzymiem weneckiem oknem w głębi. Sufit belkowany — wystające belki malowane na niebiesko — przed oknem schodki drewniane — na nich masa kwiatów w doniczkach. Meble ceratą kryte, ciężkie — w rogu ikon, przed nim lampka zapalona, po lewej duży piec, obok niego tak zwana leżanka, to jest kaflowe wzniesienie, ogrzewane od spodu. Po lewej pierwszy plan kanapa, na ziemi dywan, na nim stół okrągły, dookoła fotele i krzesła. Na środek sceny wysunięty — ogonem w lewe kulisy — duży ładny fortepian. Po prawej plan drugi: biurko gubernatora, za nim fotel — zresztą umeblowanie niegustowne — dwie lub trzy serwantki oszklone, w nich pełno porcelany i gratów. Dużo pałafek z włóczki. Na ścianach landszafty na kanwie i dwa oleodruki cara Aleksandra II. i Mikołaja I. Za podniesieniem zasłony słyhać straszny gwar kobiecych piszczących głosów, brzdąkanie na fortepianie, szczęk łyżeczek. Na kanapie siedzi Marya Gawryłówna Aksakowa w czarnej jedwabnej spodnicy i białym perkalowym haftowanym kaftaniku. Na głowie ma związaną pod brodą jedwabną szafirową chustkę, włosy pretensjonalnie uczesane. Jest to bardzo tłusta kobieta, lat około czterdziestu, czerwona i zdrowa. Siedzi z nogami podkurczonemi na kanapie i pali papierosa. Na fotelu: kupczycha, w kapeluszu, ubrana bardzo bogato pali także papierosa. Druga kupczycha przegląda dziennik mód z I-szą sybirską damą. Sonia nalewa herbatę. Masza stoi koło fortepianu i brzdąka. Druga sybirska dama cokolwiek odsunięta siedzi na fotelu w kapeluszu i co chwilę wyciąga z kieszeni ziarnka słonecznikowe i gryzie je ze zreżnością małpy. Kobiety wszystkie mają krynoliny: bluzki wogóle ubrane modą 61—62 roku. Na stole samowar, szklanki, łyżeczki, głowa cukru owinięta sinym papierem i nadrębana. Mała siekierka, którą damy odrębuja cukier, gdy biorą go na przykuskę. Wszyscy piją herbatę wylewając ze szklanek na spodki i trzymając spodki na pięciu palcach wzniesionych wysoko w górę.

SCENA PIERWSZA. AKSAKOWA do I. Sybirskiej damy. Może czaju.
I. SYBIRSKA DAMA.
AKSAKOWA — SONIA — Merçi... pięć stakanow
MASZA — I. SYBIRSKA DAMA — wypilał.
MA — II. SYBIRSKA DAMA — AKSAKOWA. Głupost'...

I. KUPCZYCHA -- II. KUP- tak przy rozmowie mo-
CZYCHA. żna i trzydzieści wypić.

II. SYBIRSKA DAMA.

Ale rojal wasz cudo!

To wasz mąż sprowadził na miejsce starego?

AKSAKOWA. Boh z wami! On by nam jaki podarek
zdzielał? on? Da on całą swoją pensję chowa, a sam
jeszcze czeka, żeby my jemu jaki podarek zrobiły...
ot anafema to kakaja.

MASZA. Da! papasza chytry i skąpy.

AKSAKOWA. I nijak z nim, ani po złości, ani po do-
broci. Już i histeryki podpuszczam i spazmy i nerwy
rozwodzę i nijak ładu nie dojdę. Ot! Hospody! co
tu gadać! Może rumu duszeńki podrugić?

KUPCZYCHA. Mnie kapelkę Marja Gawryłówna, a to
dziś i nudno i chłodno.

AKSAKOWA. Zakurz papieroskę Marja Iwanówna. Od
papieroski to nawet miłosna nuda rozwieje.

I. SYBIRSKA DAMA. Ach! tu i o miłosnej nudzie mo-
wy być nie może.

AKSAKOWA. Za czem? za czem?... nie brak-że teraz
i szykarnych oficerów?

I. SYBIRSKA DAMA. Mówcie o jednym. Innych nie
widzę.

II. SYBIRSKA DAMA. Onże jeden anioł starczy za cały
tysiąc.

MASZA zbliżając się do stołu. Wy o Zosieju Grygorjewiczu?

II. SYBIRSKA DAMA. A o kimże duszeńka miła. Toć
on herufim. Całe miasto za nim chodzi. Krasawiec
a mołodeńkij... czudnyj! czudnyj!

WSZYSTKIE oprócz Aksakowej i Soni. Czudnyj! Herufim!

II. SYBIRSKA DAMA do Aksakowej. A wy co Marja Ga-
wryłówna? wy nie w zachwycie? wam nasz herufim
nie w smak?

AKSAKOWA powoli ze spuszczonei oczyma. Och! niet... tylko
ja ot na nazwanie wasze zgodzić się nie mogę. He-

-
-
- rufim? niet! niet! eto za słodko, za łaskawo... demon on... demon. Tamary demon! iz Lermontowa baśni.
- MASZA. Ach da mameńka, wy dobrze mówicie, on Lermontowski demon!
- AKSAKOWA groźnie. A ty od kuda Lermontowa znajesz?
- MASZA. Przeczytałam mameńka wzięwszy z waszej komnaty. Za czym że nam dziewczicom nie wolno czytać książek, które Zosiej Grygorjewicz przynosi.
- AKSAKOWA. On dla mnie przynosi nie dla was.
- MASZA. Och mamó! skądże wiesz... on wczora ze mną długo i kokiетliwo rozmawiał.
- AKSAKOWA. Z tobą! dura edakaja. Sonia zagraj co-niebądź, a ty lepiej pozwij Bukaszkę. Samowar wygasł.
- MASZA biegnie ku drzwiom. Bukaszka! Koło okna Sonia! Madam!... Mamoczka!... Jedzie — jedzie...
- WSZYSTKIE. Kto?
- MASZA. Zosiej jedzie na perelotce. Wszystkie oprócz Sonji biegną do okna.
- I. SYBIRSKA DAMA. Kak prync jedzie... ot kłania się. Wszystkie tłoczą się do okna i machają chustkami piszcząc: Zdrastwujcie!
- II. SYBIRSKA DAMA. Ukłonił się.
- MASZA. Gdzie on może jechać?
- AKSAKOWA. Do turmy — ot, staje u wrot. Tam i Piotr Stepanowicz już od pół godziny siedzi.
- I. SYBIRSKA DAMA. Czy nową partję Polaków przywiedli?
- AKSAKOWA. Niet... ale z dawną coś tam nie wład tak ot i Piotrowi Stepanowiczowi jako gubernatorowi nada porządek zaprowadzić. Bo to jedni na posie-lenie, inni na katorgę, inni na turmę — czort znajet, jak tam z niemi... A wszystko to gorde ho! ho!
- I. SYBIRSKA DAMA. Da... mój mąż powiada, że to dla nas sybirskich nieszczęście, że ich tu zsyłają. Biedniagi tylko patrzą, gdzie jaki zarobek naszym wydrzeć.
-
-

AKSAKOWA. Nu, jest między niemi inteligenty... Nasza ot guwernersza Zdanowskaja, gra na rojale... po francusku i Sonię i Maszę manier dobrych uczy.

MASZA. A zakazała nam madame Zdanowska, żeby my kosą gęby nie obcierały, jak herbatę wypijemy.

I. KUPCZYCHA. Nu, nu... nowe porządki... my od dzieci kosą gębę po czaju ucieramy, a zdrowo żyjemy...

MASZA. Bukaszka! Bukaszka! gdzież ten czortow syn?

SCENA DRUGA. AKSAKOWA. Gdzie ty się podziewasz prachwost... ty edakij. Nie wiesz, co na żurfiksie samowar ciągle powinien kipieć? ha?

TEŻ SAME — BUKASZKA.

Tłusty, bardzo młody dienszczyk, w białej bluzie, łagodny i cichy.

BUKASZKA. Winowat wasze błahorodje... zdrzemnął się.

MASZA. Wot tobie raz... jaki predsiediatel... a to cztob

ty prasnulsia... Uderza go w twarz.

AKSAKOWA. Daj jemu z drugiej strony w mordę... niech pamięta o służbie...

SONIA. Masza!

MASZA. Cztó? cztó? czego ty chcesz? Bije Bukaszkę. Ot jeszcze raz, jeszcze... Zamierza się. Wchodzi Zofia Zdanowska, i chwyta ją za rękę.

SCENA TRZECIA. ZOFIA. Masza!... ja tobie zakazałam bić Bumaszkę!

TEŻ SAME — ZOFIA.

Zofia odziana biedno, ale cało, patrzy surowo na Maszę.

MASZA hardo. Mameńka pozwoliła.

ZOFIA. Pani gubernatorowa każe wyjść Bukaszce.

AKSAKOWA zmieszana. Uchodź! Uchodź! Bukaszka wychodzi. — Chwila milczenia. Wy madam Zdanowskaja naprasno

mieszacie się w te sprawy... Z chłopstwem tolko u nas biciem...

ZOFIA. I dobrem słowem.

WSZYSTKIE PANIE. Ach! czto... eto szutki...

AKSAKOWA ^{zła}. To już nasze dzieło, jak ze służbą, a wasze dzieło ot by kazać moim córeczkom co zagrać na nowym rojale. Drogo nas lekcyje kosztują. Niechże chodź ludzie widzą, że w pomyjną jamę nie wrzucamy pieniędzy.

ZOFIA. Zagraj Soniu.

SONIA łagodna blondynka. Co zagrać? Ja chciałabym Szopena...

ZOFIA. Zagraj preludjum. Sonia siada i gra cicho. — Zofia siedzi przy niej i przewraca kartki. Bukaszka wnosi samowar. Panie piją herbatę. Chwilę słuchają, wreszcie znów zaczynają rozmawiać.

SYBIRSKA DAMA. Harda jakaś ta guwernersza... Czy to zesłana?

AKSAKOWA. Nie, ona po dobrej woli przyjechała za mężem. On skazany do katorgi, ale że teraz transport dalszy utrudniony, to zatrzymali go u nas, w turmie.

MASZA śmiejąc się. W lokatorach, jak mówi papasza.

AKSAKOWA. A ona za zarobkiem chodzi, zanim dalej pojedą. Nastęczyła mi ją Awdotja Pawłówna. Jej synka uczy francuskiego.

I. SYBIRSKA DAMA. Błada i smutna.

AKSAKOWA. Da z czego jej weselić się? ha? Podobna dworianka, a w guwernerszy popadła. Do Kupczychy. Agrafena Nikolajewna czaju? a może papirosku?

I. KUPCZYCHA. Merci... mnie to od przykuski został się w gębie kawałek cukru, to ja jeszcze smokczę.

SONIA grając, do Zofii. Nikt nie słucha... może przestać grać...

ZOFIA. Graj dla siebie samej dziecko...

SONIA. Mnie ten hałas i ta przegaworka denerwuje...
ja chciałabym tak ciszy... Urywa nagle granie.

SCENA CZWARTA. AKSAKOWA. A... na-
reszcie.

TEŻ SAME — ANIUCZ- ANIUCZKIN. Izwienitie... ja
KIN. był zajęty, ledwo się wy-
dostał...

Wszystkie kobiety, oprócz Soni
i Zofii zrywają się uszczęśliwione.

MASZA z grymasem. Eto wy
tak kokietliwo tylko kazali
na siebie czekać!

AKSAKOWA ostro. Masza!

odstań od Zosieja Grygojewicza.

MASZA. Za czem mameńko! za czem? razwie ja na-
ANIUCZKIN. Wy? ach ... quelle idié!... [halna!

MASZA. A wot widzisz mameńko, Zosiej Grygorjewicz
rad ze mną mówi.

AKSAKOWA. Odejdź Masza! my chcemy także z Zo-
siejem Grygorjewiczem pomówić. Aniuczkin zbliża się do
stołu, panie robią mu miejsce, nalewają mu herbaty, on się szasta, dzwo-
ni ostrogami.

AKSAKOWA. Czajku!

ANIUCZKIN. Miłosti prosim. Spostrzega Sonię i Zofię. A par-
dons... nie widziałem panie, wszedłszy.

AKSAKOWA. Wy znacie madam Zdanowskoj?

ANIUCZKIN. Jakże to? ja miał cześć prowadzić partyę
w której szła madam Zdanowska.

AKSAKOWA. Ach da! ja zapomniałam. Z kokieteryą. No,
skory wy Zosieju Grygorjewiczu zjawiacie się to
prosto tyle myśli do łba się tłoczy, że... ręce opa-
dają.

ANIUCZKIN. Zdaje się, że panna Sonia grała na ro-
jale. Czy można prosić, żeby jeszcze co niebądź
zagrała?

SONIA. Moja gra nie będzie wam w guście Zosieju
Grygorjewiczu.

AKSAKOWA. Wot widzisz... dura kakaja... wot ona taka wiecznie mądra, jak archirej... nie w guście.

ANIUCZKIN. Zostawcie Marja Gawryłówna... panna Sonia nie ze siebie ma takie mniemanie... eto madam Zdanowska tak mnie profanem okazuje... kakże madam Zdanowska... cóż? ja się mylę. Zofia milczy — po chwili zwraca się do Aksakowej.

ZOFIA. Czy pani gubernatorowa pozwoli mi lekcyę z panienkami zacząć?

AKSAKOWA. Proszę, niech pani idzie...

MASZA. Ja nie pójdę... ja останę się. Zosieju Grygorjewiczu, proście mamasy, niech pozwoli ostać się tutaj.

ANIUCZKIN *kokietliwo*. Marjo Gawryłówna! dobroć to cnotą aniołów! Wszystkie damy zachwycone. Prelest! cudno skazane!

AKSAKOWA *uszcześliwiona*. Da ostań Masza! Sonia idzie z madam Zdanowskoj! Sonia i Zofia wychodzą na lewo.

I. SYBIRSKA DAMA. Nu sława Bogu, że poszła eta guwernersza... a to czysto mina, jak na pogrzeb albo na panihidy.

MASZA. Za czem ona was nie lubi, Zosieju Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Ach mamzel Masza... wy już niedyskretna.

I. SYBIRSKA DAMA. Aj! aj!... ja się założę, że to jaka romantyczna afera... czto!... wot widitie moi damy... Niet... wy už czerezczur donżuan!

ANIUCZKIN. Ach! Wiera Iwanowna... kakże!...

WSZYSTKIE DAMY. Da, da wy donżuan!

MASZA. Wy donżuan i diemon!

ANIUCZKIN. Och! Och!

AKSAKOWA. Da! wy diemon Zosieju Grygorjewiczu...

MASZA *podążając mu pod oczy*. Ach! ja by chciała być waszą Tamarą!

WSZYSTKIE DAMY. Masza! Masza! Masza!

MASZA. Nu co? może nie? każda z was by to chciała, tylko ja přímo mówię, a wy nie.

AKSAKOWA. Ach ty bezobrazje kakoje! Wot abizjana... uchodi procz!

ANIUCZKIN. Ach niat! zostawcie! mamzel Masza tak z żartów... Łuczsze porozmawiamy o balu, co go ma wydać dyrektor tiurmy. Wy nie mówiły, że chciałybyście potańcować polkę mazurkę.

WSZYSTKIE DAMY. Da! da!

MASZA. Radi Boga! nauczcie nas tańcować mazurkę.

ANIUCZKIN. Eto oczeń lekko... ot dwa szaga tak, a dwa szaga tak... Pokazuje. Damy wstają i usiłują tańczyć.

MASZA. Bukaszka, weź harmoniję i graj czto niebud...

ANIUCZKIN. Nie można, trzeba mazurkę.

MASZA. Naplewat! My i tak potrafimy. Bukaszka siada na leżance i zaczyna przygrywać na harmonii kozaka.

AKSAKOWA. Pokażcie mnie Zosiej Grygorjewicz, jak się tańczy.

ANIUCZKIN. W siju minutu. Biegnie do niej, bierze ją za ręce i usiłuje nauczyć kroków mazurowych, ona wściekła patrzy mu w oczy i mówi cicho.

AKSAKOWA. Co ty miał z tą Zdanowską? Ty ją znał intymno?

ANIUCZKIN cicho. Ty z uma zeszła Marzańka — astaw.

AKSAKOWA. Ostań się, jak one wszystkie pójdą, ja muszę z tobą gadać.

MASZA, która stanęła przed Bukaszką. Jak ty grasz, ty świńskie ryło? uderza go w twarz i śmieje się. Jak chlapnęło? co? Jak jego uderzyć, to chlapnie, jakbyś dłoń w donicę śmietany włożył. No, spróbój Agrafena Iwanowna, no, prosto śmietana.

I. SYBIRSKA DAMA do Kupczychy A wy?

I. KUPCZYCHA. Ja nie mogę — mnie slydno... Ja dziś nie wdziałam pończoch.

I. SYBIRSKA DAMA. Niet Zosiej Grygorjewicz... Dla mnie to za trudno. Ja nie potrafię.

MASZA. Głupot! Polaki potrafią — to i my. Cóż, oni przecież barbary naprzeciw nas... Słuszajcie — mnie rozpowiadali, że oni ruskie dzieci jedli. Czy to prawda?

AKSAKOWA. E... eto wzdor... lepiej tańczmy! Nu! ka? Bukaszka! smirno! Wszystkie tańczą ze śmiechem, nagle drzwi się roztwierają i zjawia się w nich Aksakow.

SCENA PIĄTA.

CIŻ SAMI. — AKSAKÓW.

Aksakow, mężczyzna tłusty, niski, z podbródkami — ubrany w mundur i płaszcz mikołajewski — mieszanina nadzwyczajnej chytrości, brutalności i siły — oczy przenikliwe, uśmiech na pozór dobronuduszny — nadzwyczaj inteligentny. — Zatrzymuje się w drzwiach, zrzuca płaszcz tak, że płaszcz pozostaje na scenie — to samo i czapka. Panie nie widzą go, tańczą — on przechodzi przez scenę i mówiąc „Pardons“ wchodzi do swego pokoju. Panie przestają tańczyć cokolwiek zmieszane.

AKSAKOW u drzwi zwraca się do Aniuczki. Jak wam imię — ju dielo Osip Grygorjewicz! Wchodzi do swego pokoju, chwila milczenia, kobiety zbliżają się do stołu, Aksakowa zła, nerwowo odrębuje cukier i gryzie.

I. SYBIRSKA DAMA. Piotr Stepanowicz dziś nie w do-brem rozpołożeniu ducha.

AKSAKOWA. On zawsze taki. Jak tylko wejdzie, tak i cała proklamacya i anatomia po łbie bierze. — E to moje nerwy wydzierzać nie mogą. Ze mną może zdiełać się histeryka.

MASZA. Da, ostaw mameńka histeryku, lepiej tańczymy mazurkę.

AKSAKOWA. Ty zwarzowała? A on że? Pokazuje na drzwi Aksakowa. Da on nam taki kongres urządzi, że no!...

KUPCZYCHA. Tak idźmy lepiej do domu.

AKSAKOWA. Da już lepiej idźcie... ja was zatrzymywać nie będę — a cóż Boh mnie pokarał takim mężem, ot nie dom, a prosto kazamaty.

I. SYBIRSKA DAMA. Praszczajcie... a jutro do mnie na żurfix... klukwa świeża przyszła i wy Zosiej Grygorjewiczu także...

ANIUCZKIN. Jeśli czas mieć będę.

I. KUPCZYCHA. Dziękujemy za czaj i ugoszczenie.
Kłaniają się i odchodzą.

I. SYBIRSKA DAMA. Wy Zosieju Grygorjewiczu nie chcecie odjechać ze mną do domu?

AKSAKOWA szybko. Niet! — on się tu zostaje. Damy wychodzą.

SCENA SZÓSTA.

AKSAKOWA. Bukaszka ubieri procz samowar. Bukaszka zabiera samowar. Masza idź uczyć się skarije.

MASZA — AKSAKOWA —
ANIUCZKIN — BUKASZKA —
później AKSAKOW.

MASZA grymasząc. Niet!
Ja się ostanę z Zosiejem Grygorjewiczem,

my będziemy bałtat' o miłości i o Lermontowie.

AKSAKOWA. Uchodi procz — mierzawka! Tobie o miłości... idź uczyć się... won!

MASZA. Adje z bonżurom. Wychodzi na lewo.

AKSAKOWA rzuca się do Aniuczki. A teraz ty mów czystą prawdę. Co ty miał z tą guwernaszą? Ona była w ciebie wlublona? co?

ANIUCZKIN. Patisze... mąż...

AKSAKOWA. Naplewat' mnie na niewo! Co on mi za mąż? Wkopał się w swoje dzieła i na próbkę go nie widać. Idzie do drzwi Aksakowa i zagląda. On uszoł w spalniu... Przeodziewa się... on będzie znów jakieś fokusy ze ssylnymi stroić. Dielatiel kakoj!... Gwałtownie do Aniuczki. Zaczem ty wczoraj nie przyszedł?... córeczki poszły na pragułku — ja została się jedna.

ANIUCZKIN znudzony. W turmę iść musiałem. Tam znów są ważne dzieła. Waszże mąż ciągle także teraz tam siedzi.

AKSAKOWA. Wriosz! Ty z turmy wyszedł o drugiej. Ja z za gardiny patrzała, a serce mi się słozami oblewało. Ty preździe jeszcze przed godziną przychodził. Aksakow zbliża się. Izmiennik ty! uhodi ty procz? Nagle wy-

ciągając ręce. Aniel ty! herufim!... diemon ty!... mój!...

Całuje go namiętnie.

ANIUCZKIN odrzucając ją od siebie. Ostrożnie! Wchodzi Aksakow, bez munduru, w domowej kurtce z srebrnymi guzikami.

AKSAKÓW. Wy dieś Osipie Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Z du na was gaspadin gubernator.

AKSAKÓW. K'wam u mnie prośba. Idźcie do tiurem-nego dyrektora i kaźcie żeby tych ludzi, których ja kazał sobie przywieść razem — przywiedli każdego po osobno. — To jest pierwszego osobno, a dwóch drugich razem. Już pisać nie chcę, bo niewiadomo gdzie dyrektor siedzi... wy go lepiej sami znajdziecie.

ANIUCZKIN. Ja do waszych usług Piotr Stepanowicz.

AKSAKÓW. A wracajcie się tu jeszcze.

AKSAKOWA. Czekamy na was z czajem. Aksakow spogląda na nią ze złością — ona woła za odchodzącym Aniuczkinem. Adje z bonżurom Zosieju Grygorjewiczu.

SCENA SIÓDMA. AKSAKOWA. Cóż na mnie patrzysz zwierem? ha?

AKSAKOWA — AKSAKÓW. AKSAKÓW. Tylko ty mi żadnej histeryki dziś nie strój, bo u mnie cała przepaść dzieł na głowie. Słysz

Marfa Gawryłowna... ostaw ty mnie dziś w pokoju.

AKSAKOWA. Nie uże li? ja tobie mieszam w czym spokój? Da tłuczesz się po całym domu, jak niedźwiedź na weselu — tiuremniki twoje śmierdzą wszędzie i w gościnnej i w jadalni, wszędzie ich nawodzisz tak, iż ja sobie w moim własnym domu miejsca znaleźć nie mogę.

AKSAKÓW. Ty idź do spalni i tam siedź, dom mi potrzebny do moich dzieł, a ja nie na to posłany tutaj przez mego druha Michała Mikołajewicza Murawiewa, aby perfumować twoje komnaty i w gościnnoj żurfiksy stroić.

AKSAKOWA. Ja do takiego życia przywyknąć nie mogę.

AKSAKÓW. Naczinajet sia Simfomnja! Matuszka radi Boga uchodi ty won gałubuszka — idi kakietniczat' na spacerze z junkierami — da ostaw ty mnie w pakoje.

AKSAKOWA. A zaczem ja drugi raz za mąż szła? za czem ja dolgi za ciebie splaciła? kagda ja iz Nicy po śmierci mego pierwszego męża jechała? Ty mnie drożej kosztujesz, niżby cerkiew postawić... a ty mnie teraz rugasz i z mojej własnej gostinnoj gnasz? ha?

AKSAKÓW siada przy biurku i zatyka uszy.

AKSAKOWA z coraz większą furią. Ale ja się wynukać stąd nie dam! Ja zdiesznaja korennaja Sybiraczka — ja doczka i bywsza żona grubych tuzów gorodskich... ja jak zachocze to ciebie won prognam z domu.
Wchodzi Aniuczkin.

AKSAKÓW. Marfa Gawryłowna — za dwie, trzy godziny skończysz podpuszczając swoje histeryki, teraz zostaw nas samych.

AKSAKOWA. Mnie nie choczet sia.

AKSAKÓW biorąc ją nadzwyczaj silnie za rękę i prowadząc do drzwi. Uchodi procz! gawarju tiebie!

AKSAKOWA wychodząc. Wot nahał! wot bez obrazje! wot czto eto takoje! Wychodzi. Aksakow chwilę wstrząsa się, pociera ręką po czole, wreszcie woła Aniuczkiną.

AKSAKÓW. Zosiej Grygorjewicz — wy nikomu nie rozpowiadajcie o mojej intymnoj żyźni... Marfa Gawryłowna dobra żenszczyna, no ona bolna, nerwy u niej krugom chodzą... A potem... wot... u was jest wpływ na nią.. da... da... — ja zamiętił... tak zdiełajcie proszę, żeby ona mnie teraz ostawiła w spokoju, nie mieszała, bo u mnie teraz musi być głowa swobodna i myśl czysta. Sciska Aniuczkiną za rękę. Ja wam to już jako druh odpłacę... Siada przy biurku.

ANIUCZKIN. Dyrektor tiurmy mnie mówił, że dzień do

dnia spodziewają się rozkazu, aby partja szła w dalszą drogę. Już siódmy miesiąc siedziemy na miejscu... nowe partje nadciągają.

AKSAKÓW. Da... no część z waszej partji i tak ostaje się tu na posileniu.

ANIUCZKIN. Da... no Zdanowskij, Ancypa, Lipski, Staniszevska — oni naznaczeni dalej.

AKSAKÓW. Niech oni idą wszyscy — ale Zdanowski ostanie się tu podemną. Aniućkin brwi marszczy.

AKSAKÓW. Wy wiecie dlaczego ja go chcę, ja muszę mieć go tutaj.

ANIUCZKIN. Wiem Piotrze Stepanowiczu. No właśnie dlatego, że on buntuje i sieci zarzuca, trzeba go stąd wziąć, przerwać jego działanie i rozbić projekta.

AKSAKÓW. Ach ty rebionok! ty rebionok... Z ciebie krasiwyj frontowyj oficer — no, ty nie dyplomata. U ciebie kryk, strelaj — razbij! razwie na tiem stoi rząd? — Rząd e to... kot... koszka. Wyciągnie łapę i czeka... Idzie mysz, koszka idiot — czeka, mysz tu, tu... koszka czeka, mysz gula — kontenta, myśli koszka śpi... i lezie... lezie — da i wlezie prosto w rot. I wtedy ją bieri... Da wot i my — powinni żdat' Zdanowskij naczynajet wiercić, jak Sybir podnieść przeciw Rosyi... nie przerywać... gołubczyk niet żdat'... sieci zarzucić i ślepie zamknąć. Wot w sieci naleci sotni, tysiacle, my sieć ściągniemy i oni już nasze, a cały bunt utłumili... Wstaje i chodzi po pokoju z rękami założonemi z tyłu. Da, da, ja z dobrej szkoły — ja brał udział w powstaniu Dynaburskiem, ja wiem co i jak, a potem takie pismo jak to, które ja dziś otrzymał od mego druha Michała Mikołajewicza Murawiewa z Wilna, to mnie ukrzepia i do działania podnieca. Ot Michał Mikołajewicz pisze: czyta list. „Niech ci, których Tobie Piotrze Stepanowiczu prześlę, przechodzą prosto z moich rąk w twoje ręce. Dlaczego o ciebie prosiłem tam, na oddalonym poście w Sybirze. Praca moja

nad przywróceniem ładu w Polsce nie kończy się z chwilą zsyłki. Ty czuwał i systemu mego nie zmieniał. Najmiłościwszy cesarz raczył mi wyrazić swe zadowolenie mimo Dołgorukowa i polskiej intrygi...

ANIUCZKIN. Pozwólcie, że wam przerwę, Piotrze Stepanowiczu. I mnie znajomy dobrze duch działalności Michała Mikołajewicza Murawiewa. Lecz on nie dyplomacją, a siłą ukrócił bunt i wołnienie w Litwie.

AKSAKÓW. Rebionek ty! Rebionek! Pomnij, że Murawiew przyszedł już do zbuntowanego i podminowanego kraju. — Gdyby on był obecny wtedy, gdy bunt tworzył się i rósł jak chwast, on by miał system mój, system pielęgnowania buntu... ot prosto jak w cieplarni kwiat... A jak on wzrośnie, napaść na niego i wyrwać z korzeniem... ot!

ANIUCZKIN. To może być, no — ja do więźniów moich mam także prawa... Mnie Zdanowskij przynależy i ja go mam transportować dalej. Ściemnia się.

AKSAKÓW. Batuszka — żądaj ty czego chcesz, a mnie ostaw tego więźnia. Da pojmi ty, ja go chcę schwycić — opłatać i schwytać... chcę go mieć swoim.

ANIUCZKIN. I ja go chcę mieć swoim.

AKSAKÓW. Na co? aby go siłą zgnieść?

ANIUCZKIN. Aby go siłą zgnieść.

AKSAKÓW. Mała rozkosz. Umem go zgnieść. On bardzo ineligentny, on „polska intryga”. — Tak, jego intrygą zgnieść!... wot udawolstwie.

ANIUCZKIN. Dla mnie też udawolstwie takiego umnego wieść ot na rzemieniu.

AKSAKÓW. Eto už daruj batiuszka, no eto dzicz tak lubi. U mnie polirowanyj duch. Ja delikatnie, ot, jak koronka zadzierżgnąć umiem sieci... a potem całą noc myśleć, jak, co dalej. Pochurli — prosto chytrze. A ja wam jeszcze co powiem Zosieju Grygorjewiczu! Czyn czyną poczytają... pojmi. — Kiedyż nam dobre chwile

łowić, jak nie teraz? Tam w Polsce już ucicha, rząd stłumił powstanie w guberniach północno - zachodnich... Gdy wrócisz, nie znajdziesz sposobności odznaczyć się i znaleźć sobie do car-szprynca w górę. Tak nam należy pozwolić dojrzeć powstaniu tu na Sybirze — nie wypuszczać z ręki losu i jak oni już będą gotowi wybuchnąć, a niebezpieczeństwo dla rządu będzie istotne — wtedy rozwinąć swoją działalność.

ANIUCZKIN. Mnie tak o zaszczyty nie chodzi.

AKSAKÓW. Da! da! ty jeszcze młody... u ciebie temperament. No, u mnie jednak chce się car-szprynca zrobić, bo we mnie siedzi kromie gubernatora może jeszcze co większego w duszy. Tak ty mi Zdanowskiego osławić nie chcesz?

ANIUCZKIN. Bez niego nie pójdę dalej.

AKSAKÓW. Tak, ostań się. Tak, jak chcesz, ja tobie sprowadzę jaką zaraźną chorobę do tuiumy — tyfus, albo ospę... twoi zsylni będą chorować — ty zrobisz donos do Petersburga, że jechać dalej nie możesz, a tymczasem pust' Zdanowskij niech robi rewolucyę, a potem, kto wie, co z nim rząd zrobić każe... Może ja ci go oddam, powiesz go dalsze...

ANIUCZKIN. A jak skażą na posyłki i zabiją?

AKSAKÓW. To ja znów w zamian oddam ci przy-sługę. Każę bić tak, aby nie zabili. No co zgoda?

ANIUCZKIN. Uwidim.

AKSAKÓW. Ej ty chytryj malczyska! Idzie w głąb i woła. Bukaszka! przynieś świece! Wracz. Da, da, trzeba mieć szczęście, trzeba, aby w relsy popaść i aby linja poszła szczęśliwie. Wehodzi Bukaszka.

BUKASZKA. Wasze Prewoshoditelstwo.

AKSAKÓW. Czto słuciłoś?

BUKASZKA. Pryszło unteroficer i gawarit czto szukają wszędzie warjata, no, znaleźć nie mogą.

AKSAKÓW wściekły. Jak nie mogą. Chce iść do przedpokoju, po-

trąca po drodze Bukaszkę i uderza go w twarz. Czto ty suniesz sia w nogi? won! Wychodzi do przedpokoju.

SCENA ÓSMA. SONIA do Zofii. Madam! papasza znów Bukaszkę w twarz uderzył.

ANIUCZKIN — BUKASZKA — ZOFIA

1 SONIA. Równocześnie stają we drzwiach z lewej Sonia i Zofia.

ZOFIA. Widziałam Sonjo! Przykro mi. Tylko jednym się cieszę, iż ty zrozumiałaś, iż bić ludzi, którzy nam swoje siły i życie niosą w ofierze, nie należy. Aniuczkin usuwa się cokolwiek.

SONIA. U was w Polsce służby nie biją?

ZOFIA. Bili... kiedyś... teraz nie, Sonia.

SONIA. Ja dam Bukaszce rubla. — Mama mi dała wczoraj rubla na wstążki... Ja mu dam tego rubla. Biegnie do Bukaszki. Wot tiebie rubl Bukaszka... spriacz!

BUKASZKA zdziwiony. Za czem wy mnie eto dajetie barysznia?

SONIA. Tiebie w mordu cielej dzień bijut.

BUKASZKA naiwnie. Nu tak czto? morda nie szlanka, nie słucze się.

SONIA. A! Do Zofii. On nie pojmuje. On nie pojmuje.

ZOFIA. Uspokój się Sonio!

SONIA. Czto? ja nerwna... ja tak, jak mamasza — u mnie nerwy się rozchodzą i mnie serce boli... i wszystko mnie tu dręczy... Ot papasza... ja się jego boję, on straszny, on się zawsze śmieje... On mnie wieczorem każe grać waszego Szopena, gasi świecę... a tu ktoś stoi — wtedy jęczy, płacze, żali się... o! Spostrzega Aniuczkiną. Madam! tam ktoś jest madam!

ANIUCZKIN. Radi Boga... Sonio Tarasiejewno... etoja... Aniuczkin...

SONIA. Ach!... to wy!... Boh jak ja się zlekłam. A to czemu wy się chowacie po kątach? Ach madam

Zdanowska — ja dla waszych rebionków przygotowałam trochę konfektów. One w spalni u mamasy — ja przyniosę — nie odmawiajcie, a to pomyślę dla tego, że ja Ruska a wy Polka. Wybiega na prawo — Bukszka wyszedł.

SCENA DZIEWIĄTA.

ZOFIA — ANIUCZKIN. Zofia patrzy chwilę na Aniuczkiną, poczem naciąga swój żakiet i nakłada zniszczone rękawiczki.

ANIUCZKIN blady,
z wykrzywionemi ustami.
Kakże wasze zdrowie — madam Zdanowska? Wy widzę w guwernerszy popali? hm! hm! To nie czestno dla dworjanki,

dla arystokratki kak wy... A wasz muž? Wy widzieli waszego muža? On znosi drzewo na dziedzińcu w turmie... da, da. Po chwili. A mogło być inaczej...

ZOFIA. Nie mogło być inaczej. Myśmy na tę dolę byli przygotowani. Wiedzieliśmy, co nas spotka.

ANIUCZKIN. Do czto? manifest legalny ja mogłem wam tak samo wydać, jak car... Siada na fotelu. Ja byłem i jestem teraz ciągle car nad wami — ja mogę zrobić z wami co mi się podoba... Po chwili, zrywając się, namiętnie. Ty sto razy krasiwieje teraz czem na etapach. Ty! ty! nie uchodi! nie wiesz, co to jest miłość ruskiego!... Ja dla ciebie niebo w piekło przewrócę. Klęka i całuje brzeg jej sukni. Ty... święta! ty caryca! ty różowa! Wydierażębami kawał jej sukni. Nie wydzierżu!... Chcesz, rękę sobie przekłuję a ty moją krew pij — ja ci wszystką krew oddam.

ZOFIA. Puść mnie pan! To moja jedyna sukienka. Pan drzesz ją w łachmany.

ANIUCZKIN. Broś ty z suknią! broś!... Zrywa się i rzuca się na nią, jak zwierz. Pocieluj! Pocieluj!

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ SAMI. — AKSAKOWA
I SONIA.

koj! ty negadaj! Zofia wzrusza ramionami, poprawia suknię i wychodzi.

SONIA która weszła tyłem zwrócona tak, że nie widziała, co się działo.
Mameńka... czto z tobój?

AKSAKOWA dławiąc się spazmami. Powiedz mu Sonio czto on nie diemon a szympansee, czto, ach, zdiełajetsia histeryka...

ANIUCZKIN spokojny, otwiera drzwi do przedpokoju. Piotr Stepanowicz z Marfą Gawryłówną czto to zdiełał?

SCENA JEDENASTA.

CIŻ SAMI — AKSAKÓW — BUKASZKA, który niesie pomarańczę, talerz z zupą, łyżkę — ciastko z przedpokoju.

AKSAKÓW. I nowa symfonia... wodoj! wodoj! Bukaszka, napusti fontannu. Bukaszka bierze w usta wodę i parska na Aksakową — ta się zrywa.

AKSAKÓW. Nu sława Bogu, żyje! A teraz — proszę iść stąd i zostawić mnie w spokoju.

AKSAKOWA. Ja ujdu! ujdu! nie żelaju niczewo bol-sze... ale wpierw ja powię prawdę, co ja zobaczyłam! Piotrze Stepanowiczu... Na twój dom Zosiej Grygorjewicz ściaga niesławę. On tu całował się z etoj triapkoj guwernerszoj...

AKSAKÓW. Z kim?

AKSAKOWA. Z etoj Zdanowskoj... On z nią w intym-nem znakomstwie od dawna... i tu romany w moim domu nawodzi. Eto stydno, eto mierzost', eto priamo nie dżentelmen a świniak tak diełajet, eto nie podcho-

dit ruskomu oficeru a kakomu to prachwostu! Wycho-
dzi na prawo i zamyka drzwi.

AKSAKÓW do Aniuczki. Ach! eto tak? ty wlubił sia
w żonę Zdanowskowo?... Czemu ty mnie tego pro-
sto nie powiedział? My tak to intryżkoj zdielamy, że
ty Zosiej Grygorjewiczu będziesz roman z żonoj pu-
skat'... a muž będzie tymczasem w Sybirze powsta-
nie stroił... Nu prasti... zaczem było tak niezręcznie...
wsio można, tolko ostrożno... Tieper bieda!...

ANIUCZKIN. Už późno... pozwoltie... ja ujdu... aha!...
wot czto trzeba tych dwoje waryatów z mojej da-
wnej partyi oddać do szpitala na zimę, jeżeli partja
tu dłużej zostanie.

AKSAKÓW. Co? co? warjatów oddać do bolnicy? No,
no, kakij wy dyplomat! Warjaty będą nie w bolnicy,
ale będą chodźć wolno po turmie i pomiędzy posie-
leńcami... ej! ej!... malczyska eto moi agenty, eto
moja tajna policya!... nu praszczajcie przyjdźcie dziś
w klub — ja także tam zajdę na chwilę — zagramy
do swidania! Gdy Aniuczkin odchodzi — on go wstrzymuje. No,
a jakże ze Zdanowskim? on mój?

ANIUCZKIN żywo. Pazwoltie... budiem żdał rozkazu
z Kijowa.

AKSAKÓW. Wyście się zgodzili? A może chcecie
Marfę Gawryłównę zobaczyć?...

ANIUCZKIN. Niet' niet' — meręi wychodzi szybko — wido-
cznie wzburzony.

AKSAKÓW wyjmując portfel, kładzie na biurku. Da wot... a kto
zdieś spostrzega Sonię. Eto ty? prekrasno! Ty mnie dziś
gałubuszka będziesz potrzebna zaraz.

SONIA strwożona. Papasza, znów grać po ciemku?

AKSAKÓW. Da... talko minutkę...

SONIA. Ja bojuś — ja nerwna. Kto to jęczy i płacze?
ja nie chcę.

AKSAKÓW twardo. No, ja chcę!... Sonia... ja wiem, ty
wlubiłaś w odnawo krasiwawo, małodawo czelawieka...

Ty k'niemu pisesz piśma, da i rendes - vous z nim stroisz. Ja eto znaju, a ja małczu, tak ty dołżna dziełať czto ja chaczu! Sonia spuszcza głowę. Idź, czekaj w swoim pokoju — ja po ciebie przyjdę. I o tem ni gu... gu...

SONIA. Ach papasza! Wychodzi na lewo płacząc.

SCENA DWUNASTA. AKSAKÓW odsuwa trochę kanapę, tak ażeby sta-
nęła między fortepianem
a leżanką — stawia na
leżance trochę pod ścianą
zupę, pomarańczę i ciasto.

AKSAKÓW SAM później STAŚ
WILGOCKI I BUKASZKA.

Wot kak robi się małymi środkami dyplomacya. Zaciera ręce, idzie ku drzwiom na prawo — zamyka je na klucz, tak samo i drzwi na lewo, poczem podchodzi do przedpokoju. Bukaszka prywiedi sumaszedyszawo! Narzuca na siebie płaszcz tak, że kryje świecące guziki kurtki — gasi jedną świecę, drugą przysłania zielonym abażurem. Bukaszka wprowadza Stasia Wilgockiego, który wpada z widocznym strachem. STAŚ ubrany w katorżną siermięgę — obdarty — obłocony — straszny — twarzyczka śliczna, błada i nadzwyczaj dystygnowana. Nie strzelaj tylko! nie strzelaj!

AKSAKÓW szeptem do Bukaszki. Zamknij drzwi! Bukaszka szybko zamyka drzwi. — Jaś zostawszy się sam, nie widzi chwilę Aksakowa — który się kryje w cieniu — Aksaków skrada się na lewo i po cichu wyprowadza Sonię, którą prowadzi do fortepianu, ale tak, że ona nie może spostrzedz Stasia — Aksaków sadza dziewczynę do fortepianu i mówi.

AKSAKÓW. Igraj czto nibud iż polskich motiwow. Sonja zaczyna grać preludium Szopena bardzo cicho. — Staś stoi chwilę zdumiony — wreszcie podnosi głowę.

STAŚ. O! grają! fortepian! o! Siada na krześle. Warszawa! dom... siostra Mania... mama! moja mama!

AKSAKÓW podchodzi do niego, cicho, dobrodusznie obejmuje go i całuje. Jak się masz Stasiu?

STAŚ. Kto to? kto pan?

AKSAKÓW. Nie poznajesz mnie? Ja twój wuj!...

STAŚ. A... tak... tak... ale cicho... Mania gra... ma lek-
cyę... Mania ładnie gra...

AKSAKÓW. Tu zimno — chodź ogrzej się. Prowadzi go do
pieca i opiera plecami o piec.

AKSAKÓW. Ogrzej się. Zmarzłeś dzisiaj. Wróciłeś wcze-
śniej ze szkoły?

STAŚ. Tak... tak... mama się bała rewizyi... bo już
wczoraj przyszli i przetrząsnęli wszystko... wuj wie...

AKSAKÓW. Wiem, wiem... i znaleźli śpiewy history-
czne i chorągiewki i szarpie schowane w sienniku
Mani...

STAŚ. Mania gra.

SONIA od fortepianu. Papasza!... pusti!... ja boję się!... Pa-
pasza!

AKSAKÓW. Igraj!... A teraz gdzie twoi znajomi cho-
wają papiery, listy? Co mówią jak się zejda wiecz-
rami?

STAŚ wśluchany w grę. Mania gra.

AKSAKÓW. Wczoraj wieczorem co mówili? wiesz...
u pani Staszewskiej... jak się zeszli? co? Stasieczku
przypomnij sobie.

STAŚ. A! a!... mówili dużo... mówili dużo... wuj wie —
Sybir oddzielić — oderwać...

AKSAKÓW. Odebrać Moskalom.

STAŚ. Tak, odebrać!... Gwałtownie rzuca się ku Sonji. Maniu!
siostrzyczko!

SONIA z dzikim krzykiem. Boh mój! eto warjat! ja bajus!
Mameńka! Masza!

AKSAKÓW usiłując wydrzeć Sonię z rąk Stasia. Małczy nie pугaj!

AKSAKÓWA dobijając się do drzwi na prawo. Odkrojtł dwiery...
czto eto?

SONIA wydziera się i biegnie do drzwi. Mamasza! ratuj! otwiera
drzwi — wpada Aksakowa.

AKSAKÓW. Won! idźcie stąd! won!

STAŚ przerażony. Puśćcie! nie strzelajcie... mama niewinna...
ja sam...

AKSAKOWA. Chodź Sonia, pojedziem do stryja — to nie dom, to piekło! Staś wydziera się ku Aksakowej.

STAŚ. Mama.

AKSAKOWA z krzykiem. Czto eto? Boh mój! Sonia? ujdziem! ujdziem! nie chaczu byt zdieś bolsze!...

AKSAKÓW wyrzuca gwałtownie obie kobiety na lewo i zamyka drzwi na klucz. Won! poszły won! Wraca do Stasia.

STAŚ. Dlaczego mama i Mania poszły? I tak dziś już rewizyi nie będzie, a potem sługa stoi na dziedzińcu to da nam znać, jak będą szli.

AKSAKÓW podprowadza go do pieca. Mania przyjdzie zaraz, siądz! Miałeś dziś korepetycye... ucznia masz dobrego?

STAŚ spiesźnie. Dobry! dobry! uczy się! ja patrzę na szyby, mróz rysuje srebrne kwiaty i liście... to bardzo ładnie.

AKSAKÓW podaje mu talerz z zupą. Jedz! mama przysłała z kuchni... prosi, żebyś jadł.

STAŚ. Mama?... szarpie skubie?... cóż, kobieta nic nie może... szarpie... łązy... modli się...

AKSAKÓW karmi go jak dziecko. Pani Staniszevska przecie chce Sybir odebrać Moskałom?

STAŚ. Tak, tak mówiła i pani Zdanowska także... Tylko Makar się gniewał i krzyczał, a tak łańcuchem brzęczał...

AKSAKÓW. A pan Zdanowski podobno także się gniewał.

STAŚ. Nie wuju, pan Zdanowski mówi, skoro ognie zapłoną z drugiej strony jeziora... wolność zaświta... Gdzie Mania?... Aksaków rozbiera mu pomarańczę i daje ćwiartkę.

AKSAKÓW. A kiedy ognie zapłoną? nie mówił?

STAŚ. Ja pójdę do Mani... ja chcę się z mamą przywitać.

AKSAKÓW nacierając. Nie mówili, kiedy ognie zapłoną?

STAŚ. Czego ty chcesz odemnie? Przypatruje mu się. Ty nie mój wuj. Wujaszek Leon był inny. Ty masz złe oczy, choć usta się śmieją... ty jesteś zły duch... idź!

AKSAKÓW. Ale siadaj Stasiu... pogadaj ze mną spokojnie... zjemy sobie jeszcze ciastko.

STAŚ. Nie, poza tobą jest cień... cień jak wieko trumny, a ty cały jakby umarły. Za tobą jest śmierć. Aksaków chwilę wstrząsa się, jakby przerażony — poczem śmieje się, wzrusza ramionami i znów wraca się do Stasia.

AKSAKÓW. A kto był jeszcze wczoraj z tobą?

STAŚ. Nie pamiętam... dalecy... nieznajomi...

AKSAKÓW. Moskale?

STAŚ. Nie wiem... nie wiem... ja już pójdę... Wstaje niespokojnie. Ja tu nie chcę być dłużej... tu jest śmierć... ja widzę... ja czuję... tu straszno... tu weszła śmierć.

AKSAKÓW także zdenerwowany. To uchodzi procz! wot żalobny ptak'... dziś nic z niego dobyć nie można...

Woła. Bukaszka! Zaświeca świecę.

STAŚ zdziwiony. Och! meble... obrazy... kwiaty!...

AKSAKÓW. Uhodi won!

STAŚ. Świeże kwiaty... mamy kwiaty! Aksaków go wyrzuca do przedpokoju.

AKSAKÓW. Wyrzuc go Bukaszka na ulicę! Staś zobaczywszy Bukaszkę woła.

STAŚ. Sōłdat!... boję się... będzie strzelał... ja nie chcę... ja nie pójdę dalej... zimno!

BUKASZKA. Wasze prawoshoditelstwo — zawieść go może do domu?

AKSAKÓW. Nie trzeba, on nie ma domu... on sam sobie legowisko znajdzie. Bukaszka wyrzuca do sieni Stasia, który ucieka. Aksaków wraca na scenę.

SCENA TRZYNASTA. AKSAKÓW sam. Powiedział, że tu jest śmierć... Głupost!...

Warjat! Po chwili. Nu gawarjat ludzie, że u warjatów dusza chora i widzi więcej i lepiej niż nasza... Jeśli on tu naprawdę widział śmierć, jeśli ona idzie po ciebie Piotrze Stepanowiczu!... Niet'!... przed car-szpryncom — to mnie stać się nie może... Ja gubernato-

rem w niebo popaść nie mogę. Zapala więcej świec. Da! tak jasno! i zaraz raźniej i lepiej. Siada na fotelu i zamyśla się. Ot! głupost'! pomyśleć, że jest coś, co się ludziom z rąk wymyka i ni weź ją do turmy zamknąć! Własną śmierć!... ha! no!...

BUKASZKA. Wasze Prewoschoditelstwo!

AKSAKÓW. Czo? na czo durak?

BUKASZKA. Jego Wysokoblahorodje tiuremnyj director...

AKSAKÓW. A, prosić! (Bukaszka się cofa — wchodzi Anempodist Tarasowicz).

SCENA CZTERNASTA. AKSAKÓW. Zdrastujcie.

AKSAKÓW — TARASOWICZ — TARASOWICZ (rosły i suchy mężczyzna, z uwiędłą twarzą). Ja na minutku — po diele...

później ANIUCZKIN.

AKSAKÓW. Po ważnem diele?

TARASOWICZ. Da... oto rozkaz — przynieśli sztafetę z Kijowa... na szczot partyi Aniuczkin.

OKSAKÓW (blednąc). Każa jechać im dalej?

TARASOWICZ. Wszystkim... a oto i dla mnie po łbie za to, że tak długo trzymałem jednych w turmie, a innym pozwoliłem się posielić około miasta.

AKSAKÓW. To robota Aniuczkin.

TARASOWICZ. Da — to robota toj przeklętej kukły, tego donżuana, tego stierwa naperfumowanego... On czo to ma w tem, aby partja szła dalej.. i on wam Piotrze Stiepanowiczu miesza szyki.

AKSAKÓW (chodzący po pokoju). Da! da! eto on! prachwost malczyszka.

TARASOWICZ. Ja nie winien... Szedłem z wami ręką w rękę... pozwoliłem Zdanowskiemu się wykradać do posieleńców — rozkuwałem go nawet z Brodiagą Makarem, niby że Makar chory. — Posłałem nawet agen-

tów prowokacyjnych dokoła miasta — burzą chłopów. — Wsio tak cudno się składa.

AKSAKÓW. Da... powstanie czut. — Czut. — Ot, mnie dziś powiedzieli, „gdy ognie zapłoną, Sybir powstanie“. — Żeby choć dotrzymać do tego, żeby zrobili to, co Sieroszewski — to i to dobre... Już można napaść, stłumić bunt — zrobić krzyk. — Petersburg oczy zwróci — łaska cara. — Kto wie... ot Michał Mikołajewicz nie zrobił nic innego w Polsce, a kakij on tuz!...

TARASOWICZ. Da, da, ja was w połnie ponimaju... i dlatego ja z wami szedłem tak ręka w rękę. — Wyby mnie także za sobą pociągnęli.

AKSAKÓW. Ja wam to obiecał — a ja czestnyj człowiek... A... Boże mój — ot szcześnie idiot samo w ręce... powstanie wybuchnie — dwóch, trio ch bez sądu powiesić... — tak ot z nagłości niebezpieczeństwa... gnać sztafety za sztafetami i ot car-szprync gotów!

TARASOWICZ. Da, da... eto głupo... chodzą obaj po pokoju w przeciwnych kierunkach, nagle Aksaków zatrzymuje się, patrzy na Tarasowicza przenikliwie, potem bierze go pod rękę i mówi.

AKSAKÓW. U was sztafeta?

TARASOWICZ. Da, do mnie przyszła.

AKSAKÓW wskazuje na sukno, którem stół jest nakryty. Wy znajecie rol jaką gra u nas w Rosyi tot kawałek sukna? ha?

TARASOWICZ z uśmiechem. Jakże ja by nie znał?

AKSAKÓW. Tak... wot... podsunąć rozkaz pod sukno i pust' leżył... A jak powstanie wybuchnie, to my takij krawal ustroim, że nikomu nie przyjdzie się pytać o ten rozkaz. Kakże gałubczyk? ha?

TARASOWICZ. Da... — no... — eto odpowiedzialność...

AKSAKÓW. A kak wy w wice gubernatory postapicie? a potem i w gubernatory? No — no -- Anempodist Wasiljewicz — teraz mam ryby łowić. Czto b

etym Polakom Boh dal zdarowie, że oni takie okazje nam stręczą... A woł — jeślib wy bali się, że sztafeta ucieknie... to ot czem ją przytrzymać. Wyjmuje z pugiłaresu kilka stówek i wsuwa mu w rękę.

TARASOWICZ. Nu wam Piotr Stepanowicz nie można niczego odmówić. U was takie logiczne argumenta. Chowa do kieszeni pieniądze.

AKSAKÓW. A w ostatnim razie to jeszcze napuścić tyfusu albo ospę. — Cała turma zachoruje... Tylko niech Zdanowski nie choruje... On mi sam najdroższy, ja o niego troskliwy.

TARASOWICZ śmieje się. Da, da, już my go będziemy pielęgnowali.

AKSAKÓW wesoło. Da on nasz portbonheur... No a etot durak. Aniuczkin pust' dielajet intrygi... naplewat nam na niego. Niech czeka przykazu z Kijowa... Papirosku? Podaje papierosa.

TARASOWICZ zapala. Da... niech czeka... durak! malokosos!

SCENA PIĘTNASTA.

ANIUCZKIN staje we drzwiach w szyneli.

CIŻ SAMI. — ANIUCZKIN.

Zdrastwujtie!... ja k'wam po diełu.

AKSAKÓW dobrodusznie. Późno ga-

huczyk — lepiej pojedziemy do klubu zagrać w karty.

ANIUCZKIN. Niet'... patrząc hardo na Tarasowicza i Aksakowa. Ja także dostałem sztafetę.

OBAJ. Co? co?

ANIUCZKIN. Da... tam w Kijowie wiedzą, że jedną sztafetę wysyłać niebezpiecznie. Tak ja z moją partją jutro wyruszam w drogę. My tu za długo siedzimy. Wy Piotrze Stepanowiczu wydajcie mi jako gubernator świadectwo, że przeszkód na wyjście partyi nie ma. A wy Anempodist Wasiljewiczu zróbcie smotr twoich katorżników i tych, co na dalsze posilenie

skazani, ja ich odbiorę po rachunku. — Wot eto wsio! — ma hardą minę i bije się szpicrutą po końcach butów.

AKSAKÓW zirytowany. Wy się zapominacie Osipie Grygorjewiczu! wy do mnie mówicie takim tonem — ja w randze generała.

ANIUCZKIN. Da... w randze no nie generał. — U mnie rozkaz bije się po kieszeni i ja tym rozkazem silny. Możecie się na mnie skarżyć, jak chcecie... mnie eto wsio rawno. Aksaków i Tarasowicz patrzą się na siebie zgnębieni, po chwili Aksaków mówi cicho do Tarasowicza.

AKSAKÓW. Zostawcie mnie z tym drianem. Czekajcie na mnie u siebie — choćby całą noc.

TARASOWICZ. Dobrze. Do Aniuczki. Wy Osipie Grygorjewiczu słuchajcie lepiej rad Piotra Stepanowicza, on umny człowiek, z nim idąc ręka w rękę można zdiełać karierę.

ANIUCZKIN. Naplewat' mnie na karierę, ja słucham wyższych rozkazów, a nie gubernatorów.

TARASOWICZ. Da... da... no wsio taki łuczsze. Wychodzi.

SCENA SZESNASTA. AKSAKÓW nagle gorąco. Małodoj człowiek! Małodoj człowiek... nie tak gorąco... — eto

glupost' eto dzierzost'.

ANIUCZKIN także gorąco. Eto dzierzost' zatrzymywać więźniów, którzy są moją własnością.

AKSAKÓW. Da... wy dlatego chcecie ich wyprowadzić, żeby znów po etapach mieć władzę nad Zdanowską. Da romansujcie gdzie — to wygodniej. No pojmitie, że ja dla waszych romanów nie mogę stracić karyery.

ANIUCZKIN hardo z ironią. A ja dla waszej karyery nie chcę tracić moich romanów.

AKSAKÓW wściekły. Ja napiszę ob etom do Petersburga.

ANIUCZKIN. Piszcie — ot pióro i papier — sztafete

możecie posłać dziś jeszcze... no jutro zdacie mi wię-
źniów, a ja z nimi pójdę. Aksaków chodzi znów po pokoju,
łapie ręce — nagle przybiera minę dobronudszą i staje przed Aniuczkinem.

AKSAKÓW. Wy znajecie czto... wy że džentelmany,
polirowanyje ludzie, my sobie ustępstwa już nie je-
dne robili... Ot — gałubczyk — na primier z Marfaj
Gawryłownoj — ty że poninajesz... ja nie ślepy —
ja dużo widzę — no u mnie polirówka... — ja wiem,
że młodość... tak jak ot — przez palce.

ANIUCZKIN. A!... patrzy z ironicznym grymasem na Aksakowa.

AKSAKÓW. Tak i wy Zosiej Grygorjewicz dołżniby
także przez palce...

ANIUCZKIN. Pozwoltie... Z waszą żoną eto po miło-
śnej części, a eto po służbowej.

AKSAKÓW żywo. No, ja przecież milczałem.

ANIUCZKIN. Eto uż wasza wola! Zaczemże wy mil-
czeli? Pauza. Aksaków rwie bakenbardy, wreszcie znów staje przed
Aniuczkinem i mówi z udaną swobodą.

AKSAKÓW. Wy znajecie... mnie przyszła idea... czudna
idea... — my rozigram sztosą o Zdanowskawo...
Czto? ot kartoczki. Eto prekrasno — eto budiet —
romanticzno... wy lubicie takie lermontowskie ka-
wały... Na sogłasien? Chwyta karty i tasuje z gorączkowym po-
śpiechem. To moja... to wasza strona... Aniuczkin patrzy na
niego.

AKSAKÓW rzuca. Mai, waszy, mai! tuz! tuz! Zdanow-
skij mój! mój... ja wygrał Zdanowskawo!

ANIUCZKIN. Wy?

AKSAKÓW. Da pozwoltie batiuszka... my czestno igrali..

ANIUCZKIN. Czto wzdor sztos! rozrzuca szpicrutą karty broś-
tie!... lepiej wydajcie mi wasze świadectwo.

AKSAKÓW wściekły. Nie dam.

ANIUCZKIN. Musicie, nic nie stoi na przeszkodzie.

AKSAKÓW. Jest spiszek.

ANIUCZKIN. To plotki... dowodów nie ma. — Ja ju-
tro jadę... — praszczajcie! już we drzwiach nadziewając czapkę.

A co do waszej żony, to — wy wiecie... ja na duel
sogłasien. Śmieje się i wychodzi, trzaskając drzwiami.

SCENA SIEDMNASTA. AKSAKÓW. Ach ty
skatina! ty mier-
żawiec! czto ty
ruki i nogi połamał
stara się opamiętać. Czto
mnie tiepier die-
łat'! Aha! Buka-

sza! Bukaszka! gdzie ty sfołocz! Bukaszka!

BUKASZKA. Słuszaju wasze prewostroditielstwo!

AKSAKÓW piniąc się ze złości. Eh! ty pohanne ryło! ty
swinskaja rožo! ty! gdzie ty był — malczy ściaga but
i wali nim Bukaszkę w głowę. Wot' tiebie atwiet'! Po chwili już
uspokojony. Na — teraz lżej... da! a!... Idź do turmy
i zanieś ten papier do Anempodista Wasiljewicza —
wracaj w tę minutę. Bukaszka obcierając krew, odchodzi.

ANIUCZKIN sam — wciąga but. Jaby sobie w mordy napluć
kazał, żeby ja tę okazyę z rąk wypuścił. Wydobywa re-
wolwer i kładzie na biurku. To się zawsze przyda. Podchodzi
do okna i stoi chwilę oparty o szybę. Anempodist Wasyljewicz
idzie... Biegnie do przedpokoju — wpada Tarasowicz.

TARASOWICZ w futrze — na progu. Czto? czto?

AKSAKÓW. Kazaliście przywieść?

TARASOWICZ. Idą! ale ja chciał się dowiedzieć... Cóż
Aniuczkin?

AKSAKÓW. Prokłatoj skatina... odstąpić nie chce... Tak
my teraz całą parą. Będziem na własną rękę are-
sztować Zdanowskowo i w kazamaty na dół... Niech
go stamtąd Aniuczkin dostanie.

TARASOWICZ. Tak, można go zaraz w kazamatę za-
prowadzić.

AKSAKÓW. Nie gałubczyk... Trzeba polirowanno... De-
likatnie... Administracyjny porządek... da, no z poli-
rowką. Ja z nim pogadam i nie będę Piotrem Stepa-

nowiczem Aksakowem, jak ja jemu z głębi duszy choć pół wyznania nie wydre. Ja znam jego charakter. Jego trzeba czemś rozdrażnić do ostateczności, a wygada. Potem będę miał na czemś się oprzeć... rozumiecie?

TARASOWICZ. Ale zaczem wy obu każecie przywoz-
dzić? ja go z Makarym rozkuć każę...

AKSAKÓW żywo. Sochrani Boh! Makar będzie mój świa-
dek, że Zdanowski się przyznał.

TARASOWICZ. Makar z niemi w zmowie.

AKSAKÓW. My mu przyobiecamy, że mu na wiosnę
uciec pozwolimy, to będzie gadał, jak my chcemy.

TARASOWICZ. Róbcie jak chcecie — ja głowę tracę.
Czy unteroficer ma być w komnacie w czasie prze-
słuchania.

AKSAKÓW. Na co?

TARASOWICZ. Dla bezpieczeństwa.

AKSAKÓW pokazując rewolwer. Eto mój unteroficer! A niech
czterech żołdatów stoi w sieni razem z unteroficerem...
w danej chwili gdy ich zawołam — niech pochwycą
więźniów. Dajcie mi klucze od kajdan, rozkuć ich do-
piero wtedy każę i poprowadzić osobno.

TARASOWICZ. Unteroficer ma już klucze przy sobie.

AKSAKÓW. A teraz wy idźcie do siebie. Niech się
dziś nikt w turmie spać nie kładzie, oświecić okna
całego budynku. Puścić w ruch po mieście ze dwie
kibitki. Niech turkoczą i budzą ludzi całą noc. Bę-
dziemy robić rzeczy en grand, żeby nas aż w Pe-
tersburgu posłyszeli. Praszczajcie! Tarasowicz odchodzi.

AKSAKÓW chwilę słucha — słyhać brzęk kajdan coraz bliższy. No, kra-
siwa lalko z temperamentem... Ty już Zdanowskowo
chyba po moim trupie dostaniesz.

SCENA OŚMNASTA. UNTEROFICER.

AKSAKÓW — UNTEROFICER — Wasze przewo-
scho-
ditełstwo... imieju
czest'

ZDANOWSKI — BRODIAGA — AKSAKÓW przerywa.
BUKASZKA — W przedpokoju i sieni Ładno, ostawcie
4 żołdatów z bagnietami. więźniów ze mną,
sami cofnijcie się
do sieni i czekajcie

na mój rozkaz. A dajcie klucz od kajdan.

UNTEROFICER. Oto są kładzie klucze na biurku. Brodiaga patrzy
chciwie na klucze.

BRODIAGA cicho do Zdanowskiego. Smotri bratiec... klucze do
kajdan na biurku.

ZDANOWSKI dość obojętnie. Widzę, Makar.

AKSAKÓW do Unteroficera i żołdatów. Uchodźcie na lesnicę.
Bukaszka, ty siedź w przedpokoju! Bukaszka cofa się do
przedpokoju i przymyka drzwi. Na scenie zostaje Aksaków, Zdanowski
i Brodiaga Makar, skuci łańcuchami za nogi.

AKSAKÓW chodzi chwilę po pokoju — zatrzymuje się koło pieca i pa-
trzy na Zdanowskiego. Pan Zdanowski wie, co to jest omska
sprawa?

ZDANOWSKI uderzony temi słowy podnosi głowę.

AKSAKÓW. A pan Zdanowski wie, kto był ksiądz Sie-
rociński? ha?

ZDANOWSKI krótko. Wiem!

AKSAKÓW. A pan Zdanowski wie, że za bunt i izmien-
je za przeciąganie polskiej intrygi na ziemię świętej
Rosyi na której pan nasz najmiłościwy pozwolił żyć
panu Zdanowskiemu — jest od 1830 roku w Omsku
kamień, na którym jest jedenaście polskich nazwisk.

ZDANOWSKI. Wiem i umiem te nazwiska na pamięć.
Nie tylko ja, ale i wszyscy moi — ale i moje dzieci,
skoro do samopoznania przyjdą.

AKSAKÓW. Da... eto romantizm... i wy by Polaki nie
mogli oddychać, żebyście romantiku nie podpuskali.
Ale to gorzej, że wy nie tylko na romantikach prze-
stajecie, a ot... swoje intryganckie zachcianki, co krwią
płacić musicie, dalej rozprowadzacie... Ot i do mnie
doszły wieści, że są tutaj ludzie, którym mało było

wzniecać gasudarstwiennych kryzysów w Polsce i chcą się zrobić skazocznymi bohaterami i robią spiski przeciw ruskomu władczestwu. Mało tego... oni uwlekają i uwodzą naród Sybiru i chcą wtrącić w nie-szczęście. A narodowi sybirskiemu jest dobrze pod panowaniem naszego miłościwego pana i on sam nie życzy sobie żadnej odmiany... Prawda Makar?

BRODIAGA. Da od kuda ja mogę wiedzieć takie rzeczy wasze przewoshoditelstwo.

AKSAKÓW. Ty że sam jesteś Sybirak — i z ludu.

BRODIAGA. Niet brat, ja złodziej i włóczęga — to się nie liczy do ludu.

ZDANOWSKI. Gdyby ludowi sybirskiemu było rzeczywiście tak dobrze pod panowaniem waszem — to co wy nazywacie polską intrygą nie przyjmowałoby się tak łatwo w duszach tutejszych ludzi.

AKSAKÓW. A wot, pan zaczyna rozumować. To dobrze. Ja tylko tego pragnął... nic więcej. Ja chciał pomówić z panem, jak równy z równym. — Pan patrzy na kajdany?...

ZDANOWSKI. Nie... bo zakuliście mi tylko nogi... Zatomowaliście ruch, ale nie sprralizowali myśli.

AKSAKÓW. Da... wot... prekrasno. Tak my możemy myśli swoje wymieniać, bo one są wolne i nie skrępowane.

BRODIAGA do Zdanowskiego cicho. Nie gadaj ty z nim bratiec... ty nie zdzierżysz słów... u ciebie pierwaj słowo, potem myśl... nie gadaj ty...

AKSAKÓW gwałtownie. Makar, nie wolno mówić po cicho.

BRODIAGA. A odkądże to wasze prowoschoditelstwo trzeba trąbić po pokojach gubernatora? Eto nie politycznie!

AKSAKÓW. Broś!

BRODIAGA. Hospodi! batiuszka — zaczem rugajesz sia?...

AKSAKÓW do Zdanowskiego. Tak pan znajduje, że Sybirakom źle pod panowaniem Aleksandra II. i chciałby pan ich oswobodzić?... Zdanowski milczy.

AKSAKÓW. Da, niech pan powie swoją myśl, ja panu powiem moją.

BRODIAGA *szybko*. Myśl jak ptak... można jej dowolno pióra pofarbować.

AKSAKÓW. Malczy! Niech jednak pan Zdanowski mnie powie, skąd u was taka nagła miłość dla ludu się wzięła? Wy tam w Polsce głównie bunt podnieśli przez to, że nasz najmiłościwszy pan zniósł poddaństwo... i uwolnił z pod waszej przemocy włościan.

ZDANOWSKI. Kłamiesz pan! ja sam na rok przed re-skryptem carskim w dwóch wsiach moich zniosłem pańszczyznę.

AKSAKÓW. Da... da... no eto z interesu — najlepszy dowód jak włościanie przyjęli wasze uwolnienie.

ZDANOWSKI. Nie nasza to wina. Nasyłaliście już wtedy waszych agentów, aby osłabić nasz dostatni wpływ nad ludem i wmawialiście w chłopów, że zamiary nasze były nieczyste i że jeśli dawaliśmy im wolność, to z chytrą myślą ich zguby.

AKSAKÓW. No... brośmy eto... to był wasz lud, ale tu na Sybirze.

ZDANOWSKI *coraz więcej zapalając się*. Lud jest wszędzie ludem... to jest tą pewną ilością mięsa przeznaczoną na głód, na cierpienie, na podatki, na kule armatnie...

AKSAKÓW. Taki ustrój państwowy!

ZDANOWSKI *gwałtownie*. Nie państwowy, ale szatański! Są przecież wolne i swobodne ludy! Są przecież gdzieś pod słońcem dusze nie skute więzami, nie służące za żer dla jednego despoty i zgrai jego służalców. — A jeśli nawet takich ludów nie ma, to należy ich stworzyć! to należy zerwać kajdany wiekowej pleśni, rozwinać skrzydła, na nich podnieść tych, co w kałuży łez i krwi własnej bezsilnie toną.

AKSAKÓW. To piękne słowa! Deklamacya... u was w Polsce wszyscy deklamują.

ZDANOWSKI. Milcz pan! — Od Konfederacyi Barskiej,

od Konstytucji Trzeciego maja, od powstania Kościuszkowskiego, od 12 roku, setki tysięcy nas przeszło przez wasze sybirskie śniegi. — Policz pan, ile nazwisk polskich wytyczyło trupami drogę sybirskich etapów, a potem mów o naszej deklamacyi...

AKSAKÓW. Da no eto źle zrozumiany patryotyzm.

ZDANOWSKI. Co pan możesz wiedzieć o patryotyzmie?

Pan przecież urodziłeś się już słuzalcem Groźnych Iwanów, u pana w żyłach płynie wieczne poddaństwo z donieszką kosmopolitycznej cywilizacyi! Ale my jesteśmy potomkami wolnych ludzi! My byliśmy Republiką! My jedni w Europie mieliśmy wolność indywidualną.

AKSAKÓW *prędko*. I tę wolność chcecie nadać obecnie mieszkańcom Sybiru!

ZDANOWSKI *w uniesieniu*. Gdyby nawet! Tu są takie czyste, piękne, wolne — nieskrępowane duchy... Niech i one odetchną swobodnie i jarzmo rządu z siebie zrzucą... Prawda Makar?... Ty dusza Sybiru, ty wolny ptak, nie skrepowany nawet temi łańcuchy, które ci w tej chwili włożyli na ręce... Dzicz w twem sercu... dzicz, mord i pożoga... a dlaczego? bo ty krwawemi łzami wołasz swobody i łakniesz jej — tęsknisz za nią i w pragnieniu takim nawet przed zbrodnią się nie cofasz.

AKSAKÓW. Wzdor! u Makarowa w duszy pustka! ha? co Makaruszka?

BRODIAGA. A ty od kuda znajesz, co w mojej duszy batiuszka? Razwie u ciebie ślepie kak u Boga Otca albo guberskiego isprawnika?

AKSAKÓW. Nie o to tu chodzi... my od sprawy odbiegli. Tak zawsze z wami Polakami. Rezon i rezon.

ZDANOWSKI. Czasem i kula świszczce.

AKSAKÓW *chyttrze* coraz forsując nutę. Ach, wasze kule!... to igraszki dla dzieci... z rąk warjata kula nie ugodzi wiele, a wy — prastitie no już brośliście się na nas jak warjaty!

ZDANOWSKI. To wyście na nas napadli, na gniazdo nasze jak stado szakali.

AKSAKÓW. Da, da, teraz będzie cała menażerya... hyeny, szakale, wampiry, a u was biały orzeł rozdarty. Obiecali wam go Francuzy zeszyć pożyczonemi nićmi, no i oni was brośli. Cóż? od sumaszszych stronią, a wy Jewropie pojawić się chcieli w roli gierojów, a wyszli na duraków.

ZDANOWSKI gwałtownie. Milczeć! podły ten, kto się nągrawa ze zwyciężonego!

AKSAKÓW podchodzi mu pod oczy. Może niet'? — Jewropę całą chcieli podnieść przeciw nam!

BRODIAGA cicho do Zdanowskiego. Wstrzymajcie się bracie, a to on czort was umyślnie wyzywa...

ZDANOWSKI głośno. Niech wyzywa, ja mu odpowiem!

AKSAKÓW. Pust' odpowiadajcie, ja niczego więcej nie chcę. Tak! Tak preidie Europa przeciw nam, a teraz Sybir podnosić. Co? tego wam się zachciało stado waryatów? chytre niewdzięczniki?

ZDANOWSKI coraz zapalczywiej. Wolności nam się zachciało, lokaju despoty!

AKSAKÓW coraz forsując. Waryatom i rabusiom wolności nie dają.

ZDANOWSKI j. w. Dzikim zwierzętom nie wolno pa-
stwić się nad ludźmi.

AKSAKÓW. Wy sami kraj nam sprzedali.

ZDANOWSKI. Krwią naszą i męczarnią my winę zdrajców zmazali!

AKSAKÓW. Idea! to skomlenie psów! was już nikt nie słyszy.

ZDANOWSKI. Usłyszają nas po wiekach... gdy wasz rząd padliną będzie, a na tej padlinie zakwitnie kwiat wolności nie tylko naszej polskiej, ale i ruskiego ludu...

AKSAKÓW. Pana starania są marne — lud ruski z panem nie pójdzie.

ZDANOWSKI. Pójdzie, jak Bóg żywy — a gdyby nie chciał, przemocą go ku zbawieniu powłokę.

AKSAKÓW szybko. Więc pan przyznajesz, że organizujesz powstanie Sybirskie.

ZDANOWSKI. Czy sądzisz?

BRODIAGA gwałtownie. Małczy brat — nie przyznawaj nic.

AKSAKÓW z krzykiem. Ty małczy skatina!... a nie, to ja...

BRODIAGA. Ty małci!... a to ja zabijam... ty wiesz!

ZDANOWSKI. Przywlokłeś nas tu w kajdanach, aby się pastwić nad nami?

AKSAKÓW podchodząc do Zdanowskiego. Da co? pan się przyznał, mnie reszta wsio rawno — mnie naplewać na was dwóch. Do Zdanowskiego. Ty mnie obrugał carskim łakiejem. Ty teraz w kazamaty pójdiesz na dół.. da ciebie już stamtąd ani Zosiej Grygorjewicz, kochanek twojej żony nie wyciągnie...

ZDANOWSKI bladej jak trup. Co? Kto?

AKSAKÓW jadowicie, tuż przy twarzy Zdanowskiego. Kochanek twojej żony, — Zosiej. Zdanowski jednym ruchem ręki uderza w twarz Aksakowa. Kajdany uderzają Aksakowa w skroń — ten bez jęku osuwa się na fotel martwy. Chwila milczenia.

BRODIAGA. Nu cztóż? ubit?

ZDANOWSKI oprzytomniawszy. Zabiłem? ja?

BRODIAGA. Cicho! nie kryczy! cicho! pozwól popatrzyć. Może tylko omdlał skatina.

ZDANOWSKI. Boże! Brodiaga podsuwa się cicho, starając się nie brzęczeć kajdanami i dotyka ręki Aksakowa.

BRODIAGA zadowolony. Już ścierwo — trup...

ZDANOWSKI jak nieprzytomny. Co teraz?

BRODIAGA tryumfująco. Kak co teraz? Będziemy uciekali! da — jesienią ciężko... no cztóż — pójdiesz nad jezioro w skały.

ZDANOWSKI. A ty?

BRODIAGA. Ja ne znaju... w generały, w sprawniki, w popy, no, zawsze w same tuzy! Ściąga z biurka klucze od kajdanów i cicho otwiera kajdany. Da prekrasno. Stychać szmer w przedpokoju.

ZDANOWSKI. Lepiej zawołać żołnierzy, niech mnie biorą.

BRODIAGA. Ha? chto? a ja?... ja także pójde na szubienicę przez ciebie! Nie brat! Pomnij! u ciebie żona, dzieci... potem ty nam obiecał... ty nas oswobodzisz. A nie, to poczekaj... tyby żywy także stąd nie wyszedł, bierze rewolwer, jaby ciebie ubił! Chowa rewolwer do kieszeni. W przedpokoju jest okno, wychodzi na ogrody. Tamtędy uciekniemy. Malczy! Kto to w przedpokoju jest — cicho!... Skrada się, uchyla drzwi. Dieńszczyk, malczyka śpi stojąco... Ha! no! śmierć i dla niewo. Zdanowski robi ruch, jakby chciał iść w stronę przedpokoju, Brodiaga go wstrzymuje.

BRODIAGA. Niet'... brat — ostaw!... Ty masz swego trupa wskazuje na Aksakowa, pozwól, że i Brodiaga mieć będzie swego. Uchyła drzwi. — Zdanowski zasłania oczy, ukazuje się Bukaszka, oparty o futrynę, stoi śpiąc. — Makar wyciąga rękę, chwyta go kocim ruchem za gardło, ściska, Bukaszka bez jęku osuwa się na ziemię.

BRODIAGA do Zdanowskiego. Chodź brat, droga wolna! Zdanowski cicho, automatycznie kieruje się ku przedpokojowi, widać go, jak zbliża się do wąskiego okna, tymczasem Brodiaga podchodzi do biurka, zabiera papierośnicę, portfel z pieniędzmi — i przechodząc mimo gubernatora -- podnosi kajdany i zakłada je cicho na szyję trupowi.

BRODIAGA tryumfująco. Wot skatina — dla ciebie krest'! Kieruje się do przedpokoju.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

W TRAKTIRZE.

 Scena przedstawia dość wąską izbę belkowaną, z dużym piecem rosyjskim — z leżanką, po lewej małe okno i drzwi do alkierza — po prawej drzwi do traktiru zastawione szafką — w głębi główne wejście. Gdy drzwi się otworzą — słychać wicher szalejący na dworze. Po lewej tapczan — okryty do ziemi skórą i kilimkami. Obok paczka, na niej stoi dagnerotyp w ramkach złożony — trochę zaschłych kwiatów, leżą okulary, książka do nabożeństwa i mały dziecinny trzewiczek — po prawej koło ścian dwa tapczany także zaslane koldry z kawałków sukna — poduszki perkalowe, kolorowe, wypchane sianem. Na ścianie krzyż związany z kawałków drzewa. Przed piecem trochę gałęzi suchych. — Za podniesieniem zastony na tapczanie po lewej stronie siedzi Staniszevska i przy świetle jednej świeczki szyje czapkę z grubego sukna, watowaną i z uszami. Przed nią stoją trzymając się za ręce dwóch chłopczyków Zdanowskich poubierani ciepło i poowijani w chustki i szmaty. — Na piecu na poduszkach śpi chora dziewczynka Zdanowskich, która kaszle od czasu do czasu.

SCENA PIERWSZA.

STANISZEWSKA — STAŚ —
JÓZIO — JULCIA później LIP-
SKI — I ELIKANID.

STAŚ. Ale gdzież wilki
chowają się w lecie?

JÓZIO. Muszą spać, jak
niedźwiedzie w zi-
mie... prawda proszę
pani.

STANISZEWSKA szyjąc.

Nie — wilki w lecie
także chodzą po lesie, tylko nie są takie głodne, więc
nie wychodzą na drogę i ludzi nie napadają.

STAŚ. Pani wie, u nas w Szerszeniówce to tatuś za-
strzelił wilka.

JÓZIO. Jak ja będę duży, to ustrzelę niedźwiedzia i skórę
ściągnę i daruję mamusi, żeby ciepło spać w zimie.

STANISZEWSKA. Cicho dzieci! zdaje się, że Julcia się
obudziła. Wstaje i podchodzi do pieca. Julciu! Juleczko! śpisz?
może chcesz aniołku trochę wody? Cisza. śpi!... chwała
Bogu! Słychać za ścianą granie na harmonii i gwizdanie.

STANISZEWSKA do Stasia. Idź Stasieczku do Elikanida i proś go, żeby tu przyszedł, a drzwi zamykaj prędko, żeby zimna na Julcię nie było. Staś wybiega.

JÓZIO. Pani znów czapkę szyje?

STANISZEWSKA. Znów, moje dziecko.

JÓZIO. A po co?

STANISZEWSKA. Żeby mieć z czego żyć, moje dziecko.

Z lewej z alkierza wchodzi Lipski odziany w siermięgę, łysy, wyniosły, nadęty, typ dawnego Wołyniaka, odyma wargi, chodzi z wielką pompą, pod pachą ma kołdrę zniszczoną i prześcieradło. Witam panią dobrodziejkę!

STANISZEWSKA. Dobry wieczór panu — przespał się pan trochę?

LIPSKI macha ręką. Jakie tam spanie. Rozkłada kołdrę na stole i zwraca się ku Staniszewskiej. Pani dobrodziejka nie raczy mi pożyczyć igły i nici.

STANISZEWSKA. Po co panu?

LIPSKI. Muszę kołdrę podszyć... przecież pod niepodszytą spać nie będę.

STANISZEWSKA. Pan nie potrafi.

LIPSKI gorzko. Nie do takiego poniżenia przywyknąć będzie trzeba... już trzy razy sobie kołdrę podszyłem.

STANISZEWSKA. Mam tylko czarne nici.

LIPSKI strwożony. Pani dobrodziejko! ja Wołyniak — ja przesądny, ja czarnemi nićmi białego szyć nie będę.

STANISZEWSKA. Aj, panie Lipski! że też nawet przesądów i zabobonów w kraju zostawić nie mogłeś.

LIPSKI dumnie. Pani dobrodziejko — ja znajduję, że to, co mam w sobie, jest dobre i niczego się pozbywać nie myślę.

STANISZEWSKA. To źle, mój drogi panie... Ja stara, siwa, a uznałam niejednen mój błąd i oduczyłam się wiele. Ot, ma pan białe nici.

LIPSKI. Dziękuję pani dobrodziejce! Idzie od stołu i zabiera się do podszywania kołdry.

JÓZIO. Proszę pana, dlaczego pan tak chodzi, jak indyk?

LIPSKI. Jak co?

JÓZIO. Jak indyk — pan tak z góry nogi stawia i głowę tak zadziera. — U nas na wsi...

STANISZEWSKA. Józiu!... co to za sposób mówienia? Wchodzi Staś i Elikanid. Elikanid, chłop Sybirski, w tulubie, ogromnych butach, czapie barankowej na głowie, z pod czapy widać kudły, brodę, z pod tuluba koszulę czerwoną.

ELIKANID do Staniszewskiej. Nu, a czewo tobie nużno?

STANISZEWSKA. Elikanid... u nas dziecko chore... śpi... nie grajcie w nocy w traktirze... nie krzyczcie.

ELIKANID. Da, pamiłuj!... Matuszka... jakże nie grać... a toć traktir rozniosą jak muzyki nie będzie. Przystępuje do Staniszewskiej. Nu czto? — szlapę ty uszyła! Bierze w rękę czapkę, którą Staniszevska uszyła. Nu niczewo... dobra szlapa... kładzie na głowę i śmieje się. Ha, jaki front? czto? Obraca się do Lipskiego.

LIPSKI usuwa go. Niech się usunie!

ELIKANID. Czto ty kręcisz mordy stary? ty wsiegda do mnie odnosisz się, jakby ja był padlinoj.

LIPSKI. Niech się usunie!...

ELIKANID. Da... a diengi u mnie ty pożyczyl?

LIPSKI. Procent ci kanalio zapłaciłem — piętnaście na miesiąc.

ELIKANID. Edakaja ważność! piętnaście w miesiąc... mnie płacą ssylne Polaki i po trzydzieści na miesiąc, jak im z domu nie nadsyłają. Do Staniszewskiej. Słysz matuszka... u mnie jeszcze jest dziura w kaftanie, nada latkę wstawić iż z etoj staroj szlapy.

STANISZEWSKA. Innego koloru? to Elikanid nie będzie ładnie.

ELIKANID. Wot popa i w rogóžce poznają. Tak ja tobie za to piatoczok zapłacę i kipiącej wody na czaj dam.

STANISZEWSKA. Dobrze, tylko bądźcie dziś cicho w traktirze.

ELIKANID. To matuszka obiecać nie mogę. Goście muszą się bawić, a jakaż to zabawa, jak ze dwóch

sobie mordy nie rozwali! a jakże mordu rozwalić po cichu... — ha? zabiera się do wyjścia — do Lipskiego. A kiedy ty staryj anafiem oddasz mi pieniądze?

LIPSKI. Jak mi z domu przyślą.

ELIKANID. Nu... ładno!... już ja będę pilnował... a to ty możesz jeszcze skrócić.

LIPSKI gwałtownie. Wynoś się stąd kanalio!

ELIKANID. Wot'... czto ty... kryczysz?... ty triapka kaka... ja zdieś gospodarz i żeby nie nakaz guberni, ja by tu was nie trzymał... No ja podam do gubernij i was sam stąd wyrzucę! O! Kakije tuzy! wychodzi, trzaskając drzwiami.

STANISZEWSKA wzdycha. Oh! Boże! Zabiera się do roboty — Lipski stoi nieruchomy — po twarzy zaczynają płynąć łzy. — Staś, który patrzył ciekawie na niego, podchodzi do Staniszewskiej i mówi cicho.

STAŚ. Proszę pani, pan Lipski płacze.

STANISZEWSKA żywo. Panie Lipski! Lipski macha ręką i dławiąc się łkaniem, siada na stolku, kryjąc twarz w koldrę. Staniszevska wstaje i podchodzi ku niemu.

STANISZEWSKA. Panie Lipski, jak mnie to boli, że pan swoją energię na takie drobnostki zużywasz.

LIPSKI. Taki lichwiarz! taki cham! taki smarowóz!...

STANISZEWSKA. O to panu głównie chodzi, że to cham!... Ach panie Lipski, czy my już nie mamy innych powodów do łez, tylko takie? Pan w tej chwili płacze z urażonej ambicyi, a nie z serdecznego bólu. Otrzej pan oczy, zdobądź się na energię i na drugi raz nie wyzywaj podobnej sceny, skoro jesteś tak przeczulony, że jej znieść nie potrafisz.

LIPSKI szeptem. Stary jestem, chory, łamie mnie to wszystko.

STANISZEWSKA. Młodszy jesteś odemnie o jakie lat dwadzieścia i jesteś mężczyzną.

LIPSKI. Nagiać się do tego wszystkiego nie mogę.

STANISZEWSKA. Musisz! Do jednego człowiek się nagiać nie może — do złego. Do nieszczęścia musi.

LIPSKI. Ale za co ja tak cierpię? za co?

STANISZEWSKA. Nie badaj! nie pytaj! Ja wierzę, że ciężiej tobie przenieść tę zmianę niż innym. Czterdzieści lat zbytku, samowoli i dumy. A potem... ot wskazuje ręką dokoła ale będzie to dla ciebie czyścową próbą... Wyjdiesz z niej inny. Ktoś puka, Lipski ociera pospiesznie oczy, wyprostowuje się, przybiera dawną minę i zabiera się do kołdry.

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI I KINIEWICZ.

KINIEWICZ wchodzi okutany, niesie w płachcie mech. Dobry wieczór! Dobry wieczór... a to zięb, aż dmucha... przyniosłem wam trochę mchu, aby zatkać szpary.

STANISZEWSKA. Jakże tam dziś targ poszedł?

KINIEWICZ. Powolutku, powolutku, sprzedałem trzy paczki szpilek i chłopkom dwa pudełka rózu... A jakże serdenko... rózuja się te moskwicinki, jakby same nie miały gęby jak piwonje... A gdzież te szpary? ha? a to trza pozatykać, bo do cna was wicher wywieje. Przechodząc koło Lipskiego. Pan hrabia igielką się trudniwszy?

LIPSKI przez zęby. Aha!

KINIEWICZ śmieje się dobrodusznie. Nie sporo jakoś idzie... nie sporo!

LIPSKI wyniośle. Nie rodziłem się ani na krawca... ani na kramarza.

KINIEWICZ. Ja takóż... no cóż począć — żyć trzeba. Za te trzy kopiejki na dzień, co nam rząd wydziela, to chyba kamienie nagotujesz. Z domu przysłać wiele nie mogą. Wieszatiel nas kontrybucyami obłożył — żonisko tam biedne ledwo się na tym folwarku obrobi... Ach Boże! zmęczyłem się!

LIPSKI przysuwając mu krzesło. Niech pan Kiniewicz siada.

KINIEWICZ. Dziękuję panu hrabiemu. Gdzież pani Zofia?

STANISZEWSKA cicho. Poszła na lekcję.

KINIEWICZ. Jakoż to być może? Przecież od tej nieszczęsnej katastrofy nie wolno jej dawać lekcyi.

STANISZEWSKA. Żona horodniczego, z domu Polka, w tajemnicy pozwala jej uczyć swoje dzieci.

KINIEWICZ. O Zdanowskim nie ma wieści?

STANISZEWSKA. Żadnej, przepadł jak kamień w wodę.

KINIEWICZ. Nieszczęsny on i nieszczęśni my przez niego!

STANISZEWSKA. Do tej chwili niewiadomo, czy on zabił gubernatora i dieńszczyka. Był przecież razem z Makarym w chwili spełnienia zbrodni.

LIPSKI. Według mnie to ta kanalia Makar zabił gubernatora.

STANISZEWSKA. Nie ręcz za to, panie Lipski. Zdanowski był bardzo gwałtowny, czy możesz wiedzieć, czem go Aksaków mógł rozdrażnić i doprowadzić do szalu.

KINIEWICZ. zabiera się do zapychania mechem szpar. Powinien był pomnieć o żonie, o dzieciach... Słychać hałas za drzwiami.

STANISZEWSKA. Nie sądźmy, abyśmy nie byli sądzeni.

SCENA TRZECIA. ANCYPA. Dobry wieczór pani.

ANCYPA — ŻARSKI.

ŻARSKI. Dobry wieczór.

ANCYPA. Był już karaui wieczorny?

STANISZEWSKA. Nie jeszcze! Panie Żarski, zobacz pan swoją pacjentkę. Idą do pieca — Staniszevska świeci, Żarski ogląda chorą dziewczynkę.

ŻARSKI. Hm! nieszczęgólnie, 39... i tak co wieczór.

STANISZEWSKA. Robimy co możemy. W izbie zimno, wczoraj pan Lipski sam poszedł po mięso — jeść nie chciała.

ŻARSKI. Klimat jej nie służy... Za ostry, to ją zabija.

LIPSKI. Nas wszystkich ten klimat zabije. Mnie moje reumatyzmy, co je mam z polowań na kaczki, zasnąć mi nie dadzą.

ANCYPA. Wiecie — nową partyę przywiedli.

WSZYSCY zbliżają się. Boże! skąd? skąd?

ANCYPA. Zdaje się przeważnie z Kongresówki. Niektórzy są znów z oddziału Trauguta. Nie mogłem się nic na pewno dowiedzieć. Wiecie przecież, jak nas ścigają... wiem tylko tyle, że jest pomiędzy nimi kilku z oddziałów. Jest podobno Jasiński.

STANISZEWSKA. Ten sam, który pod Horkami prze-darł się z nami przez oddział Eggera?

ANCYPA. Nie wiem! Nędznie wyglądają... mówiono mi, że szerzy się między nimi szkorbut.

STANISZEWSKA. Powiedli ich do szpitala?

ANCYPA. Nie — wepchnęli ich do turmy. Tam jest podobno straszne przepełnienie. Spią na podłogach, robactwo ich toczy. Gwałtownie. A my tu bezsilni. Gdzie ten Zdanowski — dlaczego on nas łudził — i nagle gdzieś przepadł, zbudziwszy w nas nadzieję.

KINIEWICZ. Ja się nie łudziłem, ja wiedziałem, że to się na niczem skończy...

ANCYPA. Ale ja byłem pewien. Dla dobra sprawy ustąpiłem nawet tutejsze przewodztwo Zdanowskiemu — poddałem się jego woli, on działał sam. Teraz ma w ręku wszystkie nici, sprężyny — i przepadł, może sam uciekł na Chiny, kto wie.

ŻARSKI. Nie posądzajcie go ani o odstępstwo, ani o obojętność — jeżeli Zdanowski nie daje znaku życia o sobie, to dla prostej przyczyny — kto wie, czy żyje!

KINIEWICZ. Ja mam przecucie, że żyje, ale tymczasem on, że kochaneńki utrudnił nam sytuację. Ot, ot, lada chwila zabronią mi handlować, już co chwila do tego, do owego rzemiosła brać się nam nie wolno.

ŻARSKI. Ja nie chciałem wam dziś tego mówić, ale mi zakazano od wczoraj leczyć w mieście.

WSZYSCY. O!

ŻARSKI. Doprawdy, nie wiem, co pocznę. Przysłali mi

te kilkadziesiąt rubli z domu, to dyrektor turmy ukradł z nich połowę, sekretarz gdy wydawał ćwierć, smotrytiel wziął dwa ruble, zostało się kilkanaście rubli. Licząc na praktykę, kupilem trochę baniek, trochę pijawek, cęgi do wrywania zębów, a tu... zakazali. — Co zrobię, nie wiem!

ANCYPA. To ten błazen, ten szatan Aniuczkin nas tak prześladuje. Spotkałem go dzisiaj. Och! chęć mnie zbierała roztrzaskać mu głowę.

STANISZEWSKA. Niech Bóg pana broni od tego, panie Ancypa. Mamy już dosyć jednego takiego nieszczęścia w partyi... Lepiej pomyślmy o wieczornym posiłku... dzieci głodne.

ŻARSKI. Nastaw samowar. Hałas za drzwiami.

WSZYSCY. Karaul! Drzwi się otwierają bardzo szybko, z wyciem wichru wpada Aniuczkin, za nim czterech żołdatów z latarkami.

SCENA CZWARTA. ANIUCZKIN. Gdzie Staniszevszkaja? czego się chowacie? kto tam leży na piecu? STANISZEWSKA. Chore dziecko.

CIŻ SAMI. — ANIUCZKIN. — ANIUCZKIN. Gdzie Lipski?

LIPSKI wyniośle. Spojrz pan trochę w górę, to mnie zobaczysz.

ANIUCZKIN. Małczat' — gdzie Zdanowskaja? Nie ma jej? Razwie wy nie znacie rozkazu, że ze zmierzchem wy wszyscy powinni być w domach? ha? Do Ancypy, Kiniewicza i Żarskiego. Co wy tu robicie?

STANISZEWSKA szybko. Ja mam pozwolenie na dzisiejszy wieczór. Pan wice-gubernator pozwolił, żeby ci panowie dzisiejszy wieczór spędzili u mnie pokazując papier.

ANIUCZKIN. Naplewat' mnie na to pozwolenie. Mnie się trzeba pytać o pozwolenie! Zdanowska niech ju-

tro jawi się u mnie. Ja jej rozkaz powtórzę, jak ona dobrze nie słyszała. Drzwi się otwierają, wchodzi Tarasowicz w furtze i prowadzi Stasia Wilgockiego.

SCENA PIĄTA.

CIŻ SAMI — TARASOWICZ — STAS — WILGOCKI.

TARASOWICZ. Wy tu Zosiej Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Da, ja sam smotr robię wieczorny. A wy tu po co Anempodist Wasiljewiczu?

TARASOWICZ. W tę minutę się dowiecie. Do Staniszew-

skiej. Ja za miastem, nad przepaścią spotkał waszego warjata, biegał nad jeziorem i drżał z zimna... Ja ludzki człowiek — pojmał go — choć on mnie pokasał i wam go przywiódł. Wy przecież macie rozkaz, że on z wami ma mieszkać. Czemu go nie pilnujecie.

STANISZEWSKA. Ucieka sam i nie mamy sposobu utrzymać go w domu. Przytem on robi się coraz dzikszy, dzieci się go strasznie boją.

ANCYPA. Ja go wezmę do siebie!

TARASOWICZ. Ni kak niet. On musi być tu — taki rozkaz! Ja sam będę pilnował. A jeszcze raz na ulicy spotkam — nu... na was wszystkich kara! Do wygnańców. Usuńcie się procz... ja mam co tu powiedzieć na osobności. Cicho do Aniuczkin. Ja dalej będę stosował system spoczywającego w Bogu gubernatora. Niech warjat tu siedzi, on będzie nasz szpieg. Tylko tak dowiemy się, gdzie jest Zdanowski.

ANIUCZKIN. Ale dlaczego wy się w to mieszacie Anempodist Wasiljewicz?

TARASOWICZ żywo. A już darujcie Zosiej Grygorjewiczu. Zdanowski był katorżnik powierzony mnie na czas pobytu partyi w mieście. On uciekł, ja za niego odpowiadam i ja go znaleźć muszę... Ale kiedy wy niedyskretni, to i ja będę taki. Dlaczego wy bez Zda-

nowskiego partji nie wieciecie dalej? Aniuczkin milczy. A... widzicie, tak i nie mieszajcie się do mnie. A chcecie wy mojej rady? Lepiej nie szukajcie wy Zdanowskiego, on gdy przyjdzie czas, sam nam w ręce wpadnie.

ANIUCZKIN. A ja was teraz zrozumiałem. Wy chcecie dalej ciągnąć system Aksakowa. Wy chcecie pozwolić rozwinąć się powstaniu, dlatego mnie od tego odwodzicie... Wy wiecie, że bez Zdanowskiego cały ruch się przerwie. No, to nie wasze dzieło. To sprawa policyi... Wy tylko tiuremnyj dyrektor.

TARASOWICZ. Tu na Sybirze nie ma podziału we władzy i pracy. Kto ma rozum i siłę ten ma prawo działać jak chce! Byle usłużył rządowi... Temu ja mówię ostawcie Zdanowskiego w kryjówce... niech wybuchnie powstanie.

ANIUCZKIN gwałtownie. Wy wiecie gdzie jest Zdanowski!

TARASOWICZ z ironicznym śmiechem. To już moje dzieło...

Ale wiercie mi, gdy przyjdzie czas, ja was do niego powiodę. Straszny hałas w traktirze.

STANISZEWSKA. Czy nie możemy przenieść się gdzieś indziej? Takie piekło mamy noc całą... dzieci chore, ja stara...

ANIUCZKIN. Nie lizia! taki rozkaz!

ANCYPA. Ale kto rozkazuje? kto nami tak rządzi ostatecznie?

ANIUCZKIN. To nie wasze dzieło. A drzwi do traktiru nie zamykać.

LIPSKI. Tam pełno rabusiów i zbrodniarzy.

ANIUCZKIN. Między wami ich także nie brak.

ANCYPA gwałtownie. Co? Inni go uspakajają.

ANIUCZKIN. Szafą drzwi nie zastawiać — okna nie zasłaniać. — Do Kiniewicza. Wam nie wolno więcej z towarami chodzić... Taki rozkaz!

KINIEWICZ. I tego mi nie wolno? Cóż więc chcecie, żebyśmy z głodu pomarli? To lepiej wytrujcie nas odrazu — to będzie bardziej ludzko.

ANIUCZKIN. Cicho! krzyków nie robić.

TARASOWICZ. Sami jesteście winni, było wam lżej...

ANCYPA. Lżej? wy to nazywacie lżej? Gnębiliście nas tak samo.

TARASOWICZ. Pan szczególnie się nie odzywaj? Prawda, że pana tylko na posilenie skazali, ale to się panu jakimś cudem upiekło. My tu mamy o panu inne sprawy. Pan jeszcze przyjdiesz w moje lokatory.

ANCYPA. Chyba trupem.

TARASOWICZ. Nie, żywym! Chodźmy Zosiej Grygorjewicz! Ojchodzą — spotykają we drzwiach Zofię — Aniuczkin rzuca się ku niej gwałtownie.

ANIUCZKIN. Gdzie wy byli? Wam nie wolno po mieście chodzić.

DZIECI. Mama, mama przyszła!

ANIUCZKIN zastępuje jej drogę. Gdzie wy byli?

ZOFIA. Ustap się pan — jeśli nie przed kobietą, to przed matką, do której dzieci wołają.

ANIUCZKIN. Żeby mi po nocy nie chodzić... A wy wracać do domów!

TARASOWICZ cicho. Właśnie lepiej zostawić ich razem! Łatwiej będzie ich złowić w sieci. Głośno. Chodźmy. Wychodzą — żołdaci za nimi — chwila milczenia pomiędzy wygnańcami, w traktirze śpiewa ktoś rosyjską dumkę.

ZOFIA daje znak wygnańcom, aby do niej podeszli — szeptem. Brodiaga... brodiaga jest w mieście!

WSZYSCY. Gdzie? jak? widzieliście go?

ZOFIA szybko i cicho. Poznać go nie mogłam. Odziany w płaszczu i czapce sprawnika. Jechał sankami — powoził sam. Poznał mnie — zatrzymał konie... żołdat, który za mną chodzi, zbliżył się. Makar kazał mu odstąpić. Żołdat posłuchał rozkazu. Makar pytał mnie o dzieci, powiedziałam mu, że Julcia chora. Zaciął konia i zniknął tak szybko, jak mara.

ANCYPA. Ten człowiek to szatan.

ŻARSKI. Dla mnie to genjusz! On igra z rządem, jak dziecko piłką. Zofia krząta się koło dzieci.

SCENA SZÓSTA. PODCZASKI wsuwa się cicho.

CIŻ SAMI — PODCZA-
SKI — STARY później ELI-
KANID I MUŻYKI.

Dobry wieczór! Siada w ką-
ciku ze spuszczoną głową — jest
bardzo blady — obdarty i zbiedzony.
Ancypa krząta się koło samowara.
Staniszewska — kraje chleb i do-
bywa cukier, przedtem jednak po-
sادیła Stasia Wilgockiego w kącie

i dała mu kawałek chleba, otarła twarz i okryła chustką.

STANISZEWSKA. Jakże tam dzisiaj panie Podczaski.

STARY PODCZASKI. Jakże ma być! smutno! ciężko,
tęskno!

KINIEWICZ. O, tęskno!

STANISZEWSKA do Podczaskiego. Co pan dzisiaj robił?

PODCZASKI powoli. To, co zawsze... czekałem śmierci.
Przyciąga do siebie Stasia i całuje. Cóż chłopczyku? Zdrow
jesteś.

STAŚ. Pan wie — tatuś gdzieś pojechał i jeszcze nie
wrócił. Może tatuś pojechał do nas, do Szerszeniówki?
Mamusiu! kiedy tatuś wróci?

ZOFIA nagle wybucha płaczem i siada na krześle. Nie wiem... nie
wiem! nie pytajcie mnie o to moje dzieci. Milczenie --
słuchać śpiew.

STAŚ WILGOCKI nagle mówi dziwnym ochrypłym głosem. Bo
gdyby można wszystko przewidzieć... możnaby ina-
czej życie ułożyć... Tak mówią starzy! Znów milczenie.

PODCZASKI do Staniszewskiej. Niech pani pokaże mi foto-
grafię swego syna, on mi trochę mego Tonia przy-
pomina. — Staniszewska podaje mu fotografię. Ja nie mam ani
jego grobu, ani fotografii.

STANISZEWSKA. I ja nie mam grobu mego syna —
pan wie przecież, on zginął pod Horkami... ja z am-
bulansem jechałam, nie wiedziałam nic, że go zabili.
Nagle w traktirze wybucha straszny krzyk i wrzawa — drzwi do traktiru

prowadzące roztwierają się z trzaskiem i wypada cała masa skłębionych i bijących się muzyków, która wali się na ziemię.

WSZYSCY. Jezus Marya! Dzieci z płaczem uciekają — Staś zbudzony biega po kątach.

ELIKANID pomiędzy bijącymi się. Brostie, odstantie, skatiny, mierzawce!... Dostaje butelką w łeb. Ubiwajut! karau! karau!

ANCYPA. Idźcie stąd precz, tu dzieci, kobiety...

JEDEN Z MUŻYKÓW pijany. Ty sam idź precz!

ELIKANID. Eto moja komnata... moi goście mogą się i tu bawić... karau! Wygnańcy zbili się w jedną gromadkę, po przeciwnej stronie sceny walka wre dalej.

STANISZEWSKA. Milczcie! pozabijać nas mogą!

DZIECI. Mamo! Mamo! Wpada dwóch żołdatów i unteroficer Warłamow.

UNTEROFICER WARŁAMOW. Czto zdeś? driaka? Do Polaków. Wy to z pewnością wyzwali...

JEDEN Z MUŻYKÓW do żołdata, który chce go pojąć. Won! a to ubiu! Dzwonki słyhać przed sienią.

UNTEROFICER WARŁAMOW. Pojmat' wsiech i w arest!

LIPSKI. Ależ my niewinni!

UNTEROFICER WARŁAMOW. Da, da, wy nigdy niewinni — wy ruskich bijecie... to znane...

SCENA SIÓDMA. BRODIAGA. Czto zdieś!...
UNTEROFICER WARŁAMOW

CIŻ SAMI — BRODIAGA

w czapce sprawnika — ogolony — bakenbardy — płaszcz mikołajewski — pod spodem kożuszek jemszczyka.

MOW meldując. Wasze Wysokoblahorodje — kakaja to driaka!

WYGNAŃCY do siebie cicho. To Makar!

UNTEROFICER WARŁAMOW.

Ja ich wsich budu arestowat'! Spostrzegłszy się, cicho. To ty Makar

BRODIAGA cicho. Małczy! głośno. Ostaw ich w pakoje. Do muzyków. Won ot tuda skatiny — mierzawce — swołocze. Wali ich butami i wygania nazad do traktiru. A karau!

procz!... skareje!... tam na Zapadnoj ulicy kogo to zabili — krew aż broczy! iść tam — ja sam dam znać w policyę. Do Elikanida. A ty połańskie ryło jeśli takie będziesz po nocach simfonje stroił, to ci siej czas traktir zamknąć każe.

ELIKANID *hardo*. Da batiuszki wy nie tutejszy isprawnik.

BRODIAGA. A tiebie jakie do tego dzieło? Porachuj w gębie zęby, bo za minutoczku połowy ich nie stanie, jak ci pokażę skąd ja isprawnik. Ja zaraz jadę do gubernij. Ja tam zdam sprawę o twojej pomyjnoj jamie.

ELIKANID *cicho*. Asygnatku chcesz batiuszka? asygnatku dziesięć całkowych rubli?

BRODIAGA. Dawaj! Elikanid wsuwa mu w rękę pieniądze. Brodiaga chowa. Jeden z muzyków został na ziemi pokrwawiony i szuka czegoś po ziemi.

BRODIAGA. Czego ty tutaj? czego szukasz? Won!

MUŻYK *szuka*. Zuby mi wybili — zubów szukam batiuszka.

BRODIAGA *kopie go noną*. Uhodi procz!... Wyrosną ci drugie zęby w grobie. Elikanid wciąga muzyka do traktiru.

BRODIAGA do Unteroficera *gł.* Pójdź zdies! *cicho*. Czto tam w turmie? gotowe?

UNTEROFICER WARŁAMOW *cicho*. Moi soldaci gotowi... nowa partja Polaków nadeszła, pozwolić im wejść do spisku?

BRODIAGA. Każet sia... Czemu ty wczoraj nie był u Iwana nad Jeziorem?

UNTEROFICER WARŁAMOW. Nie mogłem. Karaul na mnie wypadł. Gdzie Zdanowskoj skażi — a to chce się czasem wprost odnieść.

BRODIAGA. Nie powiem, gdzie on — to moje dzieło — idź do turmy — powiedz, że dzień się już zbliża.

UNTEROFICER WARŁAMOW *głośno* — ukladnie. Prastitie Wasze Wysokoblahorodje — ja was nie uznał.

BRODIAGA. A od kuda ty mnie znać możesz durak,

kiedy ja iz Peremostoka — dwieście werstw od was oddalony... no idit... Unteroficer i żołdaci wychodzą.

BRODIAGA po chwili. Zdrastwujtie bracia! eto ja Makaruszka przebrany za małpę sprawnika.

WSZYSCY. Witajcie!

ZOFIA. Gdzie mój mąż?

BRODIAGA. Patisze! Biegnie do drzwi prowadzących do traktiru — przymyka je. Nie zamykajcie na klucz, ale niech jeden stanie koło drzwi — drugi koło okna... Żarski staje koło drzwi traktiru — Ancypa koło okna — Brodiaga idzie ku drzwiom, widać żołdata stojącego z bagnetem koło drzwi.

BRODIAGA do żołdata. He! zemlak! posłysz... idź ty w traktir przynieś mi papierosów... czto? nie wolno? Ja ci pozwalam i każę... wot piet' rublej, a tu dla ciebie na wódkę dwugrywennik. Żołdata oddala się — Brodiaga na chwilę znika.

ZOFIA. Boże! mam jakieś dziwne przeczucie!...

SCENA ÓSMA. STAŚ WILGOCKI podchodząc — nagle. Pan Zdanowski!

WSZYSCY przerażeni. Cicho! Cicho!

CIŻSAMI—ZDANOWSKI I BRODIAGA.

BRODIAGA. Świecę zgaście! Staniszevska gasi świecę, ciemno na scenie — tylko ogień od pieca bardzo słabo oświetla grupę wygnańców — wszyscy zbili się koło Zdanowskiego.

Ostupienie ogólne — Zdanowski porywa w objęcia Zofię, dzieci, wszyscy go ściskają w milczeniu — on wyczerpany osuwa się na tapczan — lka głośno, dzieci przypadły mu do nóg, Zofia kłęczy obok niego i płacze — chwilę długą słyszać tylko płacz.

BRODIAGA. Drzwi jako zamknąć!

STANISZEWSKA. Nie ma zamku — nie wolno mieć zamków.

BRODIAGA. Ja będę trzymał. Pukanie. Czto tam? a czto żołdat?... Wyciąga rękę przez drzwi. Spasibo brat!

ZOFIA cicho do Zdanowskiego. Tyś zabił?

ZDANOWSKI. Ja!

ZOFIA. Za co?

ZDANOWSKI. Nie pytaj nawet... Musiałem.

STANISZEWSKA. Co teraz?

WSZYSCY. Tak, tak, co teraz?

ZDANOWSKI. To samo, co przedtem, tylko z tą różnicą, że jeszcze goręcej zabierzem się do sprawy...

ANCYPA. Gdzież przebywacie?

ZDANOWSKI. Gdzież ja nie byłem! Teraz jestem w skałach — niedaleko miasta — nad samem jeziorem w rozpadlinach skał, gdzie trudno dostać się człowiekowi — w czartowskim Abrywie.

STAŚ jak echo. Czartowskiej abryw... daleko... śliskie skały... woda szumi... trzcina jęczy.

ZDANOWSKI. Kto to?

ZOFIA. Nie zważaj... to Staś obłąkany...

ZDANOWSKI. Ach widziałem go dziś na skałach... Biegał tu i tam — on jeden tam przychodzi. Dziś jednak zdawało mi się, że widziałem jakiś cień za nim. — Znalazłem u ludu usposobienie gorące. Makar torował mi drogę. Teraz już pewien jestem zwycięstwa. Dokoła jeziora wszyscy czekają na sygnał.

KINIEWICZ. Czekajmy, aż wiosna nastanie zupełna...

ZDANOWSKI. Nie można, nie można! Lud czeka, a to gorące dusze i czekać nie chcą... Na głowę moją nałożona cena... ten i ów może zdradzić.

BRODIAGA. Da... sumieniu czynownika nie wierz, choćby z tobą barszcz z jednej misy chlapał.

ZDANOWSKI. Twemu sumieniu Makar ja wierzyć mogę.

BRODIAGA. Et... batiuszka... na mojem sumieniu tyle krwi, że i za skrzydelko je nie schwycisz.

ZOFIA. Tobie jednak zawdzięczamy, że go mamy wśród siebie.

BRODIAGA. Nie gawari tak matuszka... Jeśliby ja w skałach na drodze nie wstąpił sprawnik iż Pere-mostoka — który jechał na saniach... jeśliby tot sprawnik nie był pijany a jemszczyk jego jeszcze pijań-

szy — jeśliby ja im obu łbów nie roztrzaskał i nie zniał z nich... ot z jemszczyka tułub — a ze sprawnika płaszcz i szlapę — jeśliby ja nie wyrzucił trupy ze sanek i sam nie siadł na sanie...

ZDANOWSKI. Przybiegl ci po mnie, mówiąc, że córka moja chora... ogarnęła mnie tak szalona tęsknota, że oprzeć się jej nie mogłem. Makar ukrył mnie w swoich sankach — pod futrem i przywiozł tutaj. Chwilę tylko, chwilę zabawić mogę... napatrzę i wracać muszę do mej kryjówki, we dnie zakopuję się w mech i nocą tylko przepływam jeziora, brnę po pas w trzcinie... wydostaję się na przeciwległy brzeg, aby tam spotykać się z wysłanymi i radzić nad tem, co dalej czynić należy.

ZOFIA. Ja tam pójdę za tobą!

ZDANOWSKI. A dzieci? patrz na małą, ona chora, błada... Nie płacz, plan mój się powiedzie. Oswobodzimy się z tych pęt będziemy wolni.

ZOFIA. Mówileś już tak raz do mnie przed powstaniem w kraju!...

STANISZEWSKA. Nie odbieraj mu odwagi Zofio. Teraz już inaczej być nie może... to jedyny środek wyjścia.

ANCYPA. Nie zwlekajcież na Boga, mówcie prędko, jakież ostatecznie plan?

ZDANOWSKI. Oderwać Sybir od Rosyi! Dać swobodę pracującym w kopalniach, utworzyć oddzielne państwo, a gdyby się nie udało — uciekać na stepy kirgiskie Taszkent do Buchary.

PODCZASKI. Plan Sierocińskiego.

ZDANOWSKI. Szaramowski przysłał wezwanie. — Za trzy dni, nocą, ognie wzdłuż jeziora zapłoną. Sybir ma oczy na nas zwrócone. W turmie więziennej spisek poszedł nam z dziwną łatwością. Soldaci, którym nie płacą żołdu i karmią padliną, łączą się z nami. Dyrektor turmy oślepl i ogłuchł poprostu.

BRODIAGA. Jak ruski urzędnik mówi — ja śpię — to wtedy trzymaj brat rękę w kieszeni z otwartym nożem, albo asygnatą. Staś Wilgocki ucieka chyłkiem z chaty.

ANCYPA. Więc stanowczo chcecie iść razem z ruskimi?

ZDANOWSKI. Musimy.

ANCYPA gwałtownie. Nie... nie... sto razy nie!... Idźmy sami, zostawmy ich własnym siłom. Pomiedzy nimi i nami przepaść!... potoki krwi... To nie frazes. — Wy wiecie, jam jest jeden z tych „nieprześląganych“ — nazwijcie mnie fanatykiem — szaleńcem — czem chcecie... ale to już we mnie, w mojej krwi młodej zostanie. Wszakże jam jeden ze sztyletników Domejki... Tamtych schwyтали — powiesili, innych zesłali na katorgę, mnie nie udowodnili na razie i jestem na posileniu. Ale u mnie ta chęć zemsty pozostała w sercu. Oko za oko! — ząb za ząb! krew ich za naszą krew!

ZDANOWSKI. Rządu krew i ja pragnę tego!... Wszyscyśmy ją przelali!...

ANCYPA. Ja rozróżniać nie umiem! oni także nie rozróżniali. Na szubienicach w Warszawie, w Wilnie, były trupy przewódców ruchu — a na gałęziach drzew — na belkach chat kołysały się trupy chłopów naszych za to, że w pobliżu ich wsi znaleziono zabitego żołdata. Dla mnie oni wszyscy jedno... rząd... car... chłop!...

BRODIAGA. Czego ty mnie wymyślasz od carów? ha? Ja wszystko pojął, co ty mówisz bratiec! Ej ty edakij! Pomyśl tylko. Razwie ciebie inaczej maty rodziła jak mnie? razwie ty inaczej zapłakał jak na świat przyszedł — czem ruskij muzyk... Razwie ty w grobie inaczej gnić będziesz? Razwie u ciebie w sercu, jak świeci łuna nie wyje taki sam wilk-tęsknota, jak u mnie? A ty mówisz krew za krew!... za krew!... U mnie, u nas Sybiraków kropla waszej krwi na rękach?

ZDANOWSKI. Ancypo, ten chłop prawdę mówi — za-
stanów się.

ANCYPA. Nie, nie. Ja wiem, to nie liberalne wszystko co ja
mówię... ale inaczej być nie może. Ja z wami nie pójdę.

LIPSKI wolno podchodząc ku Ancypie. Ja także iść nie chcę...
wolę pozostać z panem w niewoli!

ZDANOWSKI. Jako? więc rozdwojenie?! Boże wielki!
zawsze to samo. Po chwili. Ha! trudno! ci którzy chcą
zostać, niech zostaną... Za trzy dni kto chce iść ze
mną, niech się stawi w Czartowskim Abrywie. Idźcie
śladem Stasia, on was doprowadzi. O północy zapal-
cie stos drzewek, który znajdziecie ułożony na skale.
Z brzegu jeziora wam odpowie podobny płomień...
I potem — dalej, dalej zabłysną inne ognie... To bę-
dzie znak! znak, że skrzydła szeleszczą i zrywamy
się do lotu. Na znak tych płonących ogni i ja się
zjawię. — Z przeciwnego brzegu przypłyną do nas
zebrani już Sybiracy — wtargniemy do miasta —
wojsko będzie z nami — w turmie rokosz — wszy-
scy nasi połączą się z kryminalnymi więźniami i otwo-
rzą drzwi turmy... Oswobodzimy ich! oswobodzimy
z ciemnicy z gnijących kałuż — z agonii ducha i ciała...
Wyniesiemy pół trupy na własnych barkach na świa-
tło, na życie, na prawo istnienia... Oswobodzimy was
z kazamat i katorgi a lud sybirski z wieczystej nie-
woli! Wstaniemy tumanem krwi i pożogi.

BRODIAGA. Wstaniemy tumanem krwi i pożogi.

STANISZEWSKA. Straszno wzywać Boga do pomocy
na takie krwawe dzieło! a przecież słuszna to i święta
sprawa!

ŻARSKI gorąco. Pomścimy się za naszych zmarłych.

STANISZEWSKA. Nie mścimy się, lecz starajmy się
tylko wywalczyć wolność dla żyjących! Umarli zem-
sty już nie potrzebują.

BRODIAGA który nadśluchiwał. Karauł! Chwila ogólnego zdrętwienia
Staniszewska odzyskuje pierwszą przytomność.

STANISZEWSKA. Unieście tapczan! pod tapczan! Ancypa i Żarski unoszą tapczan. Zdanowski kryje się pod tapczan.

ZOFIA do dzieci. Dzieci milczcie, że tatuś jest tutaj, bo tatusia zabijają. Brodiaga chwilę się waha — otwiera drzwi — widzi z daleka karaulowe latarki, cofa się i otwiera drzwi do traktiru — odwraca się. — W tej chwili wpada Aniuczkin, unteroficer i soldaci.

SCENA DZIEWIĄTA. ANIUCZKIN. Cóż?

CIŻ SAMI — ANIUCZKIN — UNTEROFICER — SÓLDACI.

bał się skończył?
Poszliście już spać?
Widzi na progu traktiru
Brodiagę — który czelnie
patrzy na niego. Kto
eto? i zwinite za-

muje się. Rekomendując się do Brodiagi. Osip Grygorjewicz Aniuczkin... a wasza familia.

BRODIAGA wyniośle — prawie nie odwracając się do Aniuczkina. Makar Makarowicz Makarow. A... tu prywatne mieszkanie? nie wiedział... drzwi odkryte...

ANIUCZKIN. Makarow?

BRODIAGA. Oceń prijatno poznać się z wami. odchodząc w traktir. Haziain! skareje... podawaj zakusku.

ANIUCZKIN. Dlaczego tu ciemno?

STANISZEWSKA. Świeca się spaliła, nie mieliśmy drugiej.

ANIUCZKIN świecąc latarką. Łżesz! świeca tu stoi zgaszona.

Czemu wy wszyscy tacy bladzi, ha? Panie grafie! cóż pan taki hardy, a teraz jak trup — a wy madam Zdanowskaja? nic nie umiesz odpowiedzieć? To coś jest. Do żołdatów. Przeszukajcie trochę tapczany sztykami. Żołnierze idą do tapczanów i zaczynają je kłuć bagnetami — grobowe milczenie — tylko w twarzach wygnańców straszny lęk — w traktirze słychać granie na harmonii — Zdanowska śledzi z zapartym oddechem żołnierzy kłujących tapczan, pod którym schowano Zdanowskiego. Nagle Ancypa chwyta Zdanowską za rękę i mówi cicho i szybko). Jeden ma na bagnecie krew.

SÓLDAT który ma bagnet skrwawiony. Wasze wysokobla... Zdanowska rzuca się i chwyta w obie ręce bagnet, tak, że kałeczy sobie ręce.

ZOFIA z krzykiem. Nie klujcie — tam zdaje się dziecko leży. Rzuca się ku tapczanowi. Nie! nie ma! Dzięki Bogu! Pada ze spazmatycznym łkaniem na tapczan, z rąk jej płynie krew.

ANIUCZKIN patrzy na nią marszcząc brwi. Wy się skaleczyli! za czem tak gwałtownie... No, ruszcie się — zata-
mujcie krew. Ją boli... ja na jej krew patrzeć nie
mogę. Uderza z całej siły żołdata, o którego bagnet zraniła się Zdanowska.

ANIUCZKIN. Ty zwier... kak ty śmiał won — won ot
tuda. Wyrzuca za drzwi żołdatów i sam ucieka w najwyższem zdener-
wowaniu.

SCENA DZIESIĄTA. ZOFIA. Jezus Marja!

CIŻ SAMI — później BRODIAGA.

odchylcie tapczan...
On zraniony, krew
była na bagnecie.
Unoszą tapczan — podno-
szą Zdanowskiego.

ZOFIA do męża. Nic ci nie jest, odpowiedz!"

ZDANOWSKI z trudnością. Przekłuli mi ramię... starałem
się nie jęczeć... ale ty ręce masz zbroczone.

ZOFIA. To nic, to nic, żeby tylko ty.

BRODIAGA wchodząc. Chwilę poczekamy, a potem w moje
sanie i w drogę. Spójrzycie na gościniec... ten mier-
zawiec już poszedł?

ANCYPA patrzy na ulicę. Nie, stoją, mówią coś ze sobą.
Jakaś druga grupa przyłączyła się do nich. To dy-
rektor turmy, poznają go... latarki oświecają... pomię-
dzy nimi jest Staś Wilgocki... badają jednego z żoł-
datów.

BRODIAGA chwytając za rękę Zdanowskiego. Przez traktir!

ANCYPA. Nie można! tamtędy idzie Aniuczkin z żoł-
datami.

ZOFIA. Boże, ratuj!

BRODIAGA. Patisze! Zrzuca z siebie płaszcz i czapkę i narzuca je na
Zdanowskiego. Sam zostaje w kubraku jemszczyka i porywa czapkę, którą
Elikanid zostawił Staniszewskiej na łacie — prostuje Zdanowskiego i mówi.

BRODIAGA. Smirno bratiec! to wsio pchły na prostiw

Brodiagi! W tej chwili drzwiami od traktiru ukazuje się Aniuczkin — w drzwiach od ulicy Tarasowicz i unteroficer Warłamow, za nimi tu i tam soldaci. Aniuczkin prowadzi, a raczej wlecze Stasia Wilgockiego.

SCENA JEDENASTA. ANIUCZKIN do Stasia. Gdzie Zdanowski, tymówił, że był pan Zdanowski.

STAŚ WILGOCKI. Puść, nie zabijaj!

ANIUCZKIN. Nie puszczu... skazi — był Zdanowski?

STAŚ WILGOCKI. Nie wiem... zapomniałem, był... może nie był...

TARASOWICZ we drzwiach. Puśćcie go Zosieju Grygorjewiczu... to warjat, on że nic nie wie...

ANIUCZKIN. A, teraz wam wygodnie powiedzieć, że on nic nie wie? Pust' niech on będzie moja tajna policja... gdzie Zdanowski.

UNTEROFICER WARŁAMOW cicho do Tarasowicza. Ten w płaszczu sprawnika i jemszczyk, to Brodiaga i zdaje się Zdanowskij.

TARASOWICZ. Dobrze! Głośno. A wy kto? Podchodzi do Brodiagi i Zdanowskiego.

BRODIAGA. Ja jemszczyk, a to mój pan, sprawnik iz Peremostoka... nam spieszno.

ANIUCZKIN. Nikt stąd nie wyjdzie!

TARASOWICZ, który z całym natężeniem przypatrywał się Zdanowskiemu i Brodiadze. A! Chwilę jakby się zastanawiał — nagle uśmiecha się i podchodzi do Zdanowskiego z udaną wesołością.

TARASOWICZ. A... eto wy?... no wot ja was nie poznał. Wy że mój dobryj znajomyj... jakże wy tu popadli — pewnie przez traktir... Wam spieszno? nu da... co do Wicegubernatora? Was tam czekają. Nu Zosiej Grygorjewicz — mego druha zatrzymywać nie można. Ustupicieś... Przeprowadza Zdanowskiego w stronę traktiru, Aniuczkin chwilę stoi nieruchomy.

BRODIAGA. Da ustupiś gałubczyk radi Boga!... my się spieszymy na bal do gubernij!... Do Zdanowskiego. Pożaluj-

tie — Wasze wysokobłahorodje! Tarasowicz usuwa Aniuczkiną, robi miejsce Zdanowskiemu, który wychodzi poprzedzony przez tryumfującego Brodiagę, za chwilę słysząc brzęk dzwonków, które oddalają się coraz bardziej.

ANIUCZKIN. Przetrzęsnać wszystko, przewracać sieni-
niki — podłogę... oderwać — iść na dach... on tu
być musi... być musi. Do Tarasowicza. Już ja go odszu-
kam!...

TARASOWICZ spokojnie zapalając papierosa. Szukaj galub-
czy... szukaj!... Siada na krześle. Soldaci zaczynają wszystko prze-
wracać, kłuc bagnetami i odrywać podłogę. Wygnańcy stoją nieruchomi.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

GDY OGNIE ZAPŁONA!



Skąły nad brzegami jeziora — jedna najwyższa — do której dostać się bardzo trudno — na niej ułożony stos drzew — po prawej niższe skąły — widać daleko, w perspektywie drugi brzeg jeziora — za podniesieniem zasłony ciemno, a potem powoli wypływa księżyc — i w czasie akcji ginie za gęstymi chmurami. — Chwilę scena pusta. — Późem widać Stasia Wilgockiego, biegnącego z szaloną zręcznością po skąłach. Sylwetka jego ukazuje się i niknie na brzegu i skąłach.

SCENA PIERWSZA. STAS biegąc po skąłach.

STAS WILGOCKI później TA-
RASOWICZ I DRUGI UNTER-
OFICER I ŻOŁNIERZE.

Hop! hop! echo!
echo! śpisz? to ja!
księżyc wstał... wszy-
stko śpi! echo! chodź!
chodź! precz sowo!
ha! ha! gdzie echo?

TARASOWICZ przypada poniżej do skąły i powtarza jak echo po Stasiu.
Chodź! Chodź!

STAS uradowany, przechylony na skale. Jesteś echo? zbudziłeś się... to dobrze! zaczekaj!

TARASOWICZ j. w. Zaczekaj!

STAS. Tylko ty nie jęcz... nie jęcz... bo ja cię ukaszę...
ha! ha!

TARASOWICZ woła unteroficera. Warłamow!

UNTEROFICER WARŁAMOW. Słuszajus wasze wysokorodje!

TARASOWICZ. Patrz mi prosto w oczy! Ja liczyć na ciebie mogę?

WARŁAMOW. Jak na swoją duszę wasze Wysokorodje! ja przecież wam wszystko wiernie od pierwszej chwili donosił. Jeszcze za życia jewo Prewoshodielstwa gubernatora.

TARASOWICZ. Da... no!... marszczy brwi.

WARŁAMOW. Wasze wysokorodje... ja jeszcze wczoraj wytłumaczył tiuremnym żołdatom, że gdyby serjozno podnieśli bunt, to na ich skórach wszystko się odbije. — Więźniowie wybuchną podobno dziś jeszcze może, nie mogą na pewno uznać, bo straszna chytrość u tych ludzi — ale żołdaci ich zaraz ukróć.

TARASOWICZ żywo. Niet!... Niet!... nie zaraz, niech będzie dobra drjaka. Pozwalam wam kilku więźniów zabić... dwóch... triocho... czterech Polaków i jednego, ale nie więcej, ruskiego aresztanta. Rozumiesz... strzelać dużo... hałasu jak najwięcej... na chwilę niech będzie zwycięstwo po stronie zbuntowanych.

WARŁAMOW. Słuszaju wasze wysokorodje!

TARASOWICZ. Widziałeś wczoraj Brodiagę? gdzie się kryje?

WARŁAMOW. Tu gdzieś w rozpadlinie skały — ale gdzie, wiedzieć trudno... Pewnie razem ze Zdanowskim. A w dzwony na trwogę bić każecie?

TARASOWICZ. Naturalnie! Teraz porozmieszczaj ludzi po skałach... Szkoda, że na pewno nie wiemy, jaki jest znak... warjat majaczy... gada coś o echu... Boh znajet... Jeśli się dziś nie uda — jutro znów czekać będziemy... to jedno pewne... siedlisko przewódców tutaj!...

WARŁAMOW. Da, da, wasze wysokorodje, oni się tu chowają. Idzie Warłamow i rozmieszcza żołdatów w zagłębieniach skał.

TARASOWICZ. Wot poslednia stawka? Do Warłamowa. Ty za swoich żołdatów odpowiadasz?

WARŁAMOW. Jak za siebie i za was wasze wysokorodje.

TARASOWICZ. Gdzie warjat?

WARŁAMOW. Biega znów po ścieżynie... Cyt!... ktoś idzie... Wasze wysokorodje... to kroki żołdatów.

TARASOWICZ. Schowaj się! Warłamow kryje się.

SCENA DRUGA. STAŚ WILGOCKI biegnie znów

STAŚ WILGOCKI —
ANIUCZKIN — UNTER-
OFICER — SÓLDACI
ANIUCZKINA i poprzedza-
jący.

po skalach. Echo! Echo!
gdzież jesteś? Oh! oh!
woda!... srebrzy się... lu-
dzie ludzi kásają, z drogi
w przepaść spychają.
ANIUCZKIN na skale — scho-
dząc, gdzieś się podział Staś. Gdzie
ten proklatij? a to wierci
sie... o! już tam — tak

wysoko do unteroficera. Każ żołdatom, żeby się za nim
wdarli — tylko niech go nie spłoszą... a jeśli się Zda-
nowski pokaże... chwycić.

TARASOWICZ. Zdarstwujcie Zosiej Grygorjewicz...

ANIUCZKIN chwytając rewolwer. Kto tu?

TARASOWICZ słodko. Ja gałubczyk... wasz druh i zna-
jemy... Anempodist Wasiliewicz... A wiecie co aniel
mój... Mnie przyjemnie widzieć, że wy naszym sy-
stemem nie pogardzacie i zaczynacie także ot sobie
tajną policyę trzymać...

ANIUCZKIN. Po co wy tu przyszli Anempodist Wasi-
liewiczu?

TARASOWICZ. Po to samo, co wy, Zosiej Grygorje-
wicz...

ANIUCZKIN. Ja po Zdanowskiego.

TARASOWICZ. Ja także po niego. No, wy przyszli po
męża żony, w której ty wlułlon — a ja po do-
wódce buntu... Tak u mnie prawo, nie u ciebie.

ANIUCZKIN kierując ku Tarasowiczowi rewolwer. Oto moje prawo!

TARASOWICZ zimno — wyjmując z każdej kieszeni rewolwer. Oh!
u mnie dwa takie prawa.

ANIUCZKIN. Ja nie sam, ze mną moi ludzie.

TARASOWICZ. Da... ze mną też moje tiuremne soł-
daty, no, brośmy to... Zosiej Grygorjewicz zejdz ty
gałubczyk ze skały i chodź porozmawiać ze mną
trochę. My dwaj — moglibyśmy sobie psuć wzaje-

mnie szyki — no teraz to stanowcza chwila i w to kryzys my dolżni pogodzić się i dopomódz sobie wzajemnie... Da... choć pomówić można. Nie chcecie wy do mnie podejść, nu to ja do was podejde. Idzie do Aniućzki, bierze go za rękę i sprowadza ze skały i sadza na odlamie niedaleko siebie. U was gorączka, wy w ogniu Zosiej Grygorjewiczu?

ANIUCZKIN. Da, ja chory i nerwny... u mnie głowa kręgiem chodzi.

TARASOWICZ. A wot widzicie... trzeba wam rady zdrowego człowieka. U was ruskich dwa są sorty ludzi — albo tiemperament, albo chytre, zdrowe ludzie. Po chwili milczenia dobrodusznie. Zosiej Grygorjewicz — odkryj ty mi swoją duszę, jak bratu... ty cierpisz.. ty straszno pokochał tę kobietę?

ANIUCZKIN. Skąd wy wiecie?

TARASOWICZ. Całe miasto wie... Marfa Gawryłowna Aksakowa o tem tylko mówi... Eto prawda?

ANIUCZKIN z nagłym szalonym wybuchem. Da! da! ja ją Kocham, ja proch całuję, po którym ona idzie — ona dla mnie jak ikon, jak przeczysta... we mnie serce nie serce, a pożogą dusza mi się pali — oczy krwią zachodzą... ona mnie nie chce! — nie chce! pluje czto ze mną. Pada na ziemię i rycząc z płaczu tarza się po skale. Ja jej chcę! żywa czy martwa... trupa będę całować, krwią moją ją obmyję... o! o! o!

TARASOWICZ. Nu, ładno, uspokójdź się, powiedzcie mi lepiej, co wy właściwie teraz chcecie zrobić z jej mężem. Powieść go dalej — czy...

ANIUCZKIN gwałtownie. Ja chcę go zabić! Dopóki on żyw, ona mu będzie wierna... jak on będzie trup — ona ostanie się sama, wróci do kraju... ja ją dognam — włóczyć się będę za nią, jak pies — cień jej całować — wyć pod jej oknami — ona się zli-tuje. Zrywa się. Soldaty! szukajcie po skałach — on tu musi być!...

TARASOWICZ do żołdatów. Padażtitie! Do Aniućkina. Pozwólcie sobie jedno powiedzieć Zosiej Grygorjewiczu... Ja prawie wiem, gdzie jest Zdanowski. Do tej chwili mnie szło o to, żebyście go pojmali, ale bunt już gotów — wybuchnie za dzień, za pół dnia — może za godzinę... Nie wiemy tylko na jaki znak, bo przewożący, do których należy i Zdanowski, wiedzą o tem jedynie. Dlatego ja tu dziś siedzę w tych skałach Zosieju Grygorjewiczu, siedzę i czekam spokojnie, zamiast szukać zwierza w norze. Zwierzę samo wyjdzie, gdy będzie czas.

ANIUCZKIN. A wy go wtedy schwycicie? i oddacie pod śledztwo i skażą go na palki... on się z pałek wyliże i potem na katorgę. Ona za nim pojedzie i będzie go znów kochać. Nie, nie, ja go nie dam...

TARASOWICZ. Jego powieszają.

ANIUCZKIN. Czort wie... ulaskawią może. Tam w Petersburgu liberalna partya bierze górę... Nie, nie — ja go szukać każe... Ja też za warjatem tropił i jestem pewny czto on zdieś chowa się w skałach... Potem oni tam — Lipski, Ancypa, Żarski i ona sama dziś się wybrali, tożę w ślad za warjatem. — Mnie dali znać — ja zebrał żołdatów i krótszą ścieżyną na Abryw pospieszył. — No warjat w drodze ich odbiegł i my go dościgli... Polaki zostali między skałami.

TARASOWICZ. Oni tu idą? Więc to dziś... dziś wreszcie bunt wybuchnie!!! Idą go pożegnać albo złączyć się z nim! Gorączkowo. Zosiej Grygorjewicz zbiierz ty cały swój um — całą siłę — pohamuj nerwy i wejdź ty ze mną w układ. Nie płosz ty mi Zdanowskiego — przez dwie godziny... przez godzinę... — niech on wywoła powstanie buntu danym znakiem — a ja potem oddam go w twe ręce.

ANIUCZKIN. Niet... niet...

TARASOWICZ gwałtownie. Ty pamiętaj, że on już raz tobie wymknął się z rąk. Ja to zrobiłem.

ANIUCZKIN. Kiedy? kiedy?

TARASOWICZ. W chacie Elikanid... Pomnisz? Tot peremeslawski isprawnik, którego ja druhem nazywał.

ANIUCZKIN z krzykiem. Ach! eto wy?

TARASOWICZ *hardo*. Nu czto? czy ja winien? że wy przez miłość krugom durak? Po chwili. Wy widzicie, że ja z moim umem więcej mogę, jak wy z waszym temperamentem. Ja teraz tak samo wywiodę Zdanowskiego i Brodiagę pod waszym nosem ze skał, jak z traktiru u Elikanida. Lepiej więc zgodzić się na mój układ. Czekajcie godzinę, ja rękę w ogień włożę, że czuł, czuł powstanie wybuchnie... A potem Zdanowski wasz — tylko za niego wy mnie oddacie Brodiagę i resztę zesłańców Polaków. Ja ich dowódcami powstania na raporcie zrobię i administracyjnym porządkiem dwóch, albo trzech powieszę. Zgoda?

ANIUCZKIN. Weźcie sobie całą bandę — tylko ostawcie ją i jego...

TARASOWICZ *grzecznie*. Och! ona... jakże... To samo przez się rozumiano. Ona przedmiot waszej lubwi — nietykalna świętość. Acha da... ja by Lipskiego powiesił... eto graf, to dobrze robi — to nada serjozną wagę sprawie. A... czy wy zapłacili żołd sołdatom?

ANIUCZKIN. Eto śmiałe pytanie Anempodist Wasiljewicz...

TARASOWICZ. Ale wiedzieć mnie trzeba koniecznie. Oni także częścią w spisku.

ANIUCZKIN. Czto? kak? oniby śmieli?

TARASOWICZ. Czemu nie... moi turemni soldaci także, no... ja już starszy żenat — ja nie wlublon, to ja mam głowę na karku. Ja im żołd zapłacił i na swoją stronę przeciągnął. Nada i z waszymi tak zrobić, inaczej oni serjozno przeciw nam pójdą. A u mnie 700 więźniów, a posieleńców dokoła miasta przepaść... a tam ukazuje po za jezioro tylko oczekują, ażeby

się przeplawić i napaść na miasto... Tak trzeba żołnierzy zapłacić...

ANIUCZKIN cicho. Pieniędzy nie mam — przegrałem w karty w klubie...

TARASOWICZ. Choć tych zapłacić, co są z tobą. Pozwij ich tu... Unteroficer!

ANIUCZKIN. Biełoszubow! Unteroficer podchodzi. Zbierz żołdatów.

TARASOWICZ. Wy cali drżący... ostawcie — ja mówić do nich będę.

ANIUCZKIN. Jakże? wy? ja że ich dowódca!

TARASOWICZ. Na dowódcę u was nerwy za słabe w takiej chwili. Soldaci Aniuczkiń zebrałi się i stoją w linii.

TARASOWICZ do żołdatów. Wam żałowanie należy się? ha? Milczenie.

ANIUCZKIN. Gawaritie!

TARASOWICZ dziko. Wot każdemu rubl całkowity — jutro obrachunek — a teraz słuchajcie. Jeśli są między wami skatiny, które chcą podnieść broń przeciw rządowi, niech pomną, że car bałuszka karze śmiercią tego, kto chce buntować się przeciw prawom Boga i Pana... Kula... da szubienica... a przedtem pałki — do krwi pałki!... czerez stroj... mięso od kości odleci... poniali?

SOLDACI chórem. Poniali wasze wysokobłahorodje!

TARASOWICZ. Teraz pochować się w skały i czekać rozkazu. Soldaci się kryją po skałach powoli. Woła. Warłamow!

WARŁAMOW. Słuszaju wasze wysokobłahorodje. Staś Wilgocki ukazuje się na skale.

TARASOWICZ. Skoro wybuchnie bunt — a tylko pa-trzeć — możesz kazać podpalić dwa, trzy punkta miasta — dzwonić we wsie kołokoty — kazać mni-chom niech wybiegną z monasteru i rozwieją riasy, biegnąc po ulicach. Niech krzyczą na pomoc... to lud bardzo trwoży.

WARŁAMOW. Słuszajus wasze wysokobłahorodje.

TARASOWICZ. Spędzić mi tu warjata. Soldaci rzucają się i zarzucają sznur.

ANIUCZKIN. Ze mną są psy... może puścić?

TARASOWICZ. Nie trzeba, psy hałas robią. Jeden soldat złapał Stasia na stryczek. Ściśnij mocno skatina... a to zacznie krzyczeć. Ściągają Stasia ze skały.

TARASOWICZ. Da zakneblować... wziąć go pod ręce i odprowadzić daleko na drogę. Do Aniuczki. Gdzie on ich zostawił?

ANIUCZKIN. Koło krestowskiego mostu.

TARASOWICZ. Tam go odprowadzić, puścić i wracać klusem... a kryć się w cieniu... Warłamow — idź z nimi.

WARŁAMOW. Słuszajus wasze wysokorodje! Wychodzi, za nim kilku soldatów wywłóczy na postronku Stasia.

ANIUCZKIN pada na skałę. Ja ze wszystkim ustał... sił mi brak...

TARASOWICZ. Da — u was nerwny tiemperament, a z tem daleko w ruskiej służbie się nie zajdzie. Wraca Warłamow, soldaci biegną cicho.

WARŁAMOW. Wasze wysokorodje oni opodał błakali się w skałach... my na nich puścili warjata.

TARASOWICZ. Pochować się w skały — wszyscy — psy pokneblować — czekać komendy. Do Warłamowa. Ty do turmy i pamiętaj, co cię czeka. Warłamów wybiega. Wszyscy szybko kryją się w rozpadliny skał — scena pustoszeje — księżyc zakryty chmurą.

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI ukryci. — ZOFIA

ZDANOWSKA — KINIE-

WICZ. Niesie Stasia Zdanowskiego.

ŻARSKI — LIPSKI — przodem

biegnie STAŚ WILGOCKI.

KINIEWICZ. Stasiu! czekaj! gdzie tak biegiesz? Nadażyć nie możemy.

LIPSKI. On ma postronek naokoło szyi... ktoś widocznie usiłował go schwycić.

ŻARSKI oglądając się. Nie ma

nikogo... pustka zupełna. Jaka dzikość i smutek...
prawdziwie czartowskie siedlisko.

KINIEWICZ do Zofii. Pani zmęczona... niech pani spocznie.

ZOFIA siada na skale. Rzeczywiście drzę cała. Kiniewicz sadza koło niej dziecko.

STAŚ WILGOCKI. Ciśnie postronek! ciśnie!

ŻARSKI. Pozwól, ja go ci rozwiązę.

STAŚ WILGOCKI. Nie, nie, nie dotykaj... bo ja cały z lodu — ja się rozplynę.

ŻARSKI. Kto ci zarzucił ten postronek?

STAŚ WILGOCKI. Nie wiem... nie wiem... duchy... szaro odziane... wiecie, echo!

ZOFIA. Boże! gdy pomyślę, że zobaczę go może raz ostatni.

ŻARSKI do Zofii. Wyrzucam sobie, że usłuchaliśmy pani prośb i wzięliśmy panią z sobą, panią i dziecko.

ZOFIA. Chcieliście więc, ażebym go nawet nie pożegnała, aby syn najstarszy nie wiedział później, jak ojciec wyglądał!

LIPSKI. Ja panią odprowadzę do domu — bądźcie spokojni.

KINIEWICZ. Teraz należy znaleźć stos drzewek, o których Zdanowski mówił.

ŻARSKI. Tak, tak, nie zwlekajmy. Co ma się stać niech się stanie. Do Stasia Wilgockiego. Słuchaj, powiedz, gdzie drevka? drevka ułożone?

STAŚ WILGOCKI. Drevka, gałęzie? tam! tam! Wskazuje na najwyższą skalę.

KINIEWICZ. Wysoko serdeńko, jakże nam się tam dostać?

ŻARSKI. Niech on nam zapali.

LIPSKI smutnie kiwając głową. Na szalony czyn — znak rozniecony ręką szaleńca. Żarski podnosi gałąź z ziemi, zapala ją i daje w rękę Stasiowi Wilgockiemu, mówiąc.

ŻARSKI. Idź! zapal! zapal!

STAŚ WILGOCKI dziko. Ogień! Ogień! pożogę niosę!

śmierć! Drapie się na skałę i podpala stos — przerażony jednak płomieniem, cofa się i zeskakuje. Gore! Gore! O! o!

SCENA CZWARTA. ZDANOWSKI. Nareszcie!

CIŻ SAMI I ZDANOWSKI.

Zdanowski ukazuje się na tle gorejącego ognia na skałę.

ANIUCZKIN wypadając z ukrycia. Dzierżytye jewo! Soldaci ze strasznym wrzaskiem porywają się ze skał i pędzą ku Zdanowskiemu.

TARASOWICZ chce ich powstrzymać. Na Boga jeszcze chwilę!

ZOFIA. Zginęliśmy! Tarasowicz chce zastąpić Aniućkinowi drogę.

ANIUCZKIN jak szalony. Procz! a to ubiju! Na skałę pojawia się Brodiaga obok Zdanowskiego. Soldaci chcą się wdrzeć na skałę.

ŻARSKI. Znak! gaście znak! wszystko przepadnie! Brodiaga spycha Zdanowskiego do wody.

BRODIAGA. Ratuj się bratiec. Zdejmuje siermięgę i gasi nią ogień.

ANIUCZKIN. Pojmat' etu skatinu! Brodiagę ściąga dwóch żołdatów ze skały i wlecze naprzód sceny. Teraz za tamtym. Biegnie na brzeg — za nim soldaci.

TARASOWICZ. Zostają mi się tylko ci. Zofię — Lipskiego — Kiniewiczę — Żarskiego. Pojmat' ich natychmiast! Starego grafa w kajdany! kobietę zostawić...

ANIUCZKIN. Strzelać — on plynie do przeciwległego brzegu.

II. UNTEROFICER. Wasze wysokoblahorodje — nie słyhać plusku wody, on gdzieś siedzi w trzcinie.

ANIUCZKIN. Strzelać w wodę i trzcinę. Żołnierze strzelają odwróceniem od widzów ku wodzie. Cisza.

BRODIAGA do żołnierzy. Puśćcie bracia... eto ja Makar — wy że z nami, wy nasi!

ANIUCZKIN. Ciemno, nic nie widać... Tupiąc nogą. Procz chmury! nie zasłaniać! won!

ZOFIA klęcząc i składając ręce dziecku, jak do modlitwy. Boże! Boże! nie spędzaj chmur!

ANIUCZKIN. Strzelać jeszcze raz! Strzały — cisza.

TARASOWICZ do siebie. W dzwony nie biją, wszystko
przepadło!

ANIUCZKIN. Psy! Soldaci wiedą na łańcuchu dwa olbrzymie psy i rzu-
cają je z brzegu w wodę.

BRODIAGA do żołdatów. Puśćcie mnie... wy zdradzacie... bracia!

UNTEROFICER na brzegu. Psy z niczem wróciły.

ANIUCZKIN szalejąc. Ja jego mieć muszę! muszę!

TARASOWICZ. Odprowadzić tych ludzi do turmy!

Do Lipskiego. Pan Graf pójdzie pierwszy na szubienicę.

LIPSKI. Nie cofnę się, bądź pewny kanalio! Wyprowa-
dza Lipskiego — Żarskiego — Kiniewicza.

SOLDAT który nie mógł sobie poradzić z Brodiagą. Wasze wyso-
koblchorodje — nie można go pojmać — kasa.

ANIUCZKIN który przez ten czas zbiegł ze skały, chwytą Zofię i wlecze
ze sobą na brzeg. Pochodnie! Dwóch żołdatów zapala pochodnie z ga-
łęzi i podnosi na brzegu wysoko w górę — pomiędzy nimi staje Aniuczkina,
który trzyma za gardło Zofię lewą ręką — prawą przykłada jej do skroni
rewolwer i woła donośnym głosem w głąb sceny, pochodnie oświetlają ja-
skrawo tę grupę.

ANIUCZKIN. Zdanowski! jeśli sam dobrowolnie nie od-
dasz się nam w ręce — zastrzelę twoją żonę...

ZOFIA mimowoli, czując zimno lufy na skroni. Meżu! ratuj!

ZDANOWSKI z daleka. Oto jestem! Słychać w oddali dzwon na
trwogę, na brzegach zaczynają się zapalać światła.

STAŚ WILGOCKI na skale. Gdy ognie zapłoną — Sybir
powstanie!

TARASOWICZ. Wybuchło! Wybuchło! Sława Tobie
Hospody! — Soldaci za mną! Soldaci rzucają się za wybiegają-
cym Tarasowiczem — Brodiaga wyrwał się im i chciał uciec — soldaci
Aniuczkińską biją go kolbami, ale nie wiążą i nie pozwalają mu odejść.

ZDANOWSKI pojawia się na brzegu, Aniuczkina odrzuci Zofię, która sta-
rza się po skałach na dół i biegnie do dziecka, które złożone płakało na przod-
zie sceny.

ANIUCZKIN. Ty! ty! wreszcie cię mam! wreszcie cię
trzymam! Soldaci chwytają Zdanowskiego i ściągają go naprzód sceny.
Rozstrzelać!

ZOFIA ZDANOWSKA do Aniuczki. Litości! laski!

ZDANOWSKI. Nie bój się Zofio... Wskazuje na żołdatów strzelać do mnie nie będą! Oni wiedzą... ja chcę ich do bra... ja chcę ich wywlec z nędzy, z chłosty, z poniżenia... Krew za nich oddaję, życie kładę w ofierze, aby rozkuć ich kajdany i w jasność wprowadzić! Oni ze mną! ich dusze i moja to jedno... jeden mamy cel, jedno pragnienie...

ANIUCZKIN. Rozstrzelać!!! Zdanowski widząc, że unteroficer ustawia żołnierzy w półkole — wydaje im rozkazy, oni nabijają karabiny — dwóch podchodzi do Zdanowskiego z postronkami i karabinami.

ZDANOWSKI. Co to? wy mnie nie słuchacie? Ależ patrzcie na te ognie... to cały Sybir płonie chęcią wolności i swobody! Słyszycie dzwony, one dzwonią na śmierć carowi, na śmierć despocie, śmierć tyranii! Wolni z wolnymi! Makar! oni nie słuchają... Makar! przemów ty do nich.

ANIUCZKIN uderzając żołdatów. Skareje skatiny!

MAKAR. Tak do nich mów! pięścią — żelazem...

ZDANOWSKI wskazując na Aniuczki. Ku niemu zwróćcie swą broń, jego połóżcie trupem! On wami szarga, on was katuje... niech w was się zbudzi — człowiek!...

ANIUCZKIN kopiąc żołdatów. Skareje zwierzęta!... Ci rzucają się ku Zdanowskiemu, chwytają go za ręce, rozkrzyżowują, przesuwają przez ręce karabin i przywiązują sznurami ręce.

ZOFIA. Boże! gdzie jesteś! Boże! Żołnierze ustawiają Zdanowskiego przy ścianie skały — sami stają w półkole — unteroficer odstepuje za półkole.

ZDANOWSKI z rozpaczliwą rezygnacją. Zrozumiałem!... po chwili.

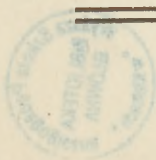
Zosiu! dzieci! Oduść im panie winy... jako i my od...

ANIUCZKIN. Ognia!.. Strzały — Zdanowski pada martwy.

BRODIAGA podnosząc dziecko Zdanowskiego do góry. Niech Bóg oduści. — Ty nic nie oduść — nie!

ZASŁONA.





BARAŃSKI FR.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA!

Pieśni patryotyczne i narodowe. Wydanie trzecie. Część I.: Muzyka. Układ na fortepian i do śpiewu. Na 126 stronicach nuty do 110 pieśni. Część II.: Słowa do przeszło 300 pieśni na 192 stronicach. Cena Koron 4:50, w oprawie Koron 5.

DASZYŃSKA Z. DR.

ZARYS EKONOMII SPOŁECZNEJ.

Cena Koron 1:20. W ozdobnej oprawie Kor. 2. (Cena zniżona).

LIMANOWSKI B.

**HISTORIA POWSTANIA NARODU
POLSKIEGO 1863—1864.** 2 tomy. Cena Koron 2.

NIEMOJEWSKI A.

POLONIA IRREDENTA. Cena 80 halerzy.

MASKOFF J.

— **TAMTEN.** Sztuka w 5 aktach. Cena Koron 2.

— **CAR JEDZIE.** Sztuka w 1 akcie. Cena K. 1:20.

— **ZASZUMI LAS.** Powieść współczesna. 2 tomy.
Cena Koron 6.

WIELKI ŚPIEWNIK POLSKI. Zbiór
około 900 pieśni patryotycznych, religijnych, miłosnych i oby-
czajowych (1412 stronic). Cena w oprawie Koron 3.

WYSŁOUCHOWA M.

— **O ŻYCIU I PISMACH ADAMA
MICKIEWICZA.** Cena 20 halerzy.

— **KORNEL UJEJSKI, JEGO ŻYCIE
I JEGO DZIEŁA.** Cena 50 halerzy.

1618, (255) A





Biblioteka WSP Kielce



0331449